



ROK LIX

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEK

Nr 39

WARSZAWA, DNIA 25 WRZEŚNIA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: „Midinetki” — *M. B. - Ł.* Z cyklu sylwetek: „Matka Marja Urszula Ledóchowska” — *C. Walewska*. Dwa zwycięstwa kobiece nad la Manche’em — *K. Muszałówna*. Amazonki Polskie w. XIX — *J. Ginalska*. Wiersze: „Psy” — *F. Kruszevska*. Winogrona — *N. Samotyhowa*. Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości) — c. d. — autor, przekł. *T. Jakubowicza*. Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszancka*. Władysław Smoleński — *Z. Okr.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Na marginesach życia — *Andrea*. Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Kapelusz ze sznelki. To i owo — *W. D.* W opłotach kaszmirowego szala — *M. O.* Polska współczesna. Reforma gospodarstwa domowego — *Felicja Sachsówna*. Metaloplastyka — *Eleonora Onichimowska*. Napoje i potrawy, podawane przy wykwinnych ucztach weselnych — *J. S.* Przepiórki — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — *Concha Espina* (dokończenie), autor, przekład z hiszpańskiego *T. Jakubowicza* i „Trzy Kobiety annamickie” — *C. Chivas - Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska*). Arkusz wzorów.

„MIDINETKI”



asza publiczność, dla której utrudnienia paszportowe są bodaj najdotkliwszym zarządzeniem rządu, lubi odwiedzać obce kraje, jak może żaden inny naród kontynentu europejskiego. Podróż podobno kształcą. Ale spędzenie kilku tygodni w zagranicznej miejscowości kąpielowej niewiele chyba przysporzy wykształcenia, albo rozumu. A czerpanie wrażeń wielkomiejskich na wielkich bulwarach Paryża, czy w kawiarniach Wiednia, lub Berlina nie daje nic prócz pokostu zewnętrznego, prócz łatwości rzucania pewnymi nazwami i słówkami, najczęściej bez jakiegokolwiek wnikanja w ich treść istotną.

Utarł się u nas przez częsty kontakt z Paryżem i jego literaturą brukową termin „midinetka”. Midinetkami nazywają w Paryżu dziewczęta pracujące w magazynach i tłumnie wychodzące na przerwę południową. U nas noszą one nazwę pracownic igły. Brzmi to o wiele surowiej, poważniej, niż „midinetka”. „Midinetka” według pism ilustrowanych jest szykowna, zgrabniutka, śliczna. Polska pracownica igły, jak dobrze to wiemy z codziennego z nią zetknięcia, bywa również niekiedy szykowna, śliczna i zgrabna. Ale te dzieci proletariatu przeważnie są źle odżywione, wychowane w najbardziej niehigienicznych warunkach, których wpływ nie zawsze mogą okupić potęgą i urok młodości. Tak samo jest z midinetkami. Nędza ich i wyzysk przez pracodawców zwróciły już przed laty kilkudziesięciu uwagę czynników rządowych

i osób prywatnych, wrażliwych na niedolę bliźniego. Kilkakrotnie przeprowadzone w tym czasie bezstronne badania dały obraz bardzo smutny. Niskie płace, niewystarczające na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb życiowych, zupełny brak zarobku, a więc bezwzględna nędza w okresie zwanym u nas „ogórkowym”, wolne przedłużanie przez pracodawcę dnia pracy w czasie sezonu, a i bez tego nadmiernie długi dzień roboczy — oto obraz, jaki wykryły zarówno panie z Towarzystwa katolickich kół robotniczych, jak zasłużeni badacze pp. Karol Benoist i d’Haussonville i wreszcie ankietą, przeprowadzoną staraniem Urzędu pracy (obecnie Ministerstwo pracy) w 1896 roku. Obraz ten możnaby uważać za fotografię naszych stosunków, zwłaszcza przedwojennych.

Od owych czasów i u nas i we Fracnji wiele rzeczy w tym zakresie zmieniło się na lepsze. Towarzystwo katolickich kół robotniczych prowadziło swe badania w 1888 roku, a więc jeszcze przed wydaniem francuskiej ustawy o pracy kobiet i młodocianych w 1892 roku. Ustawa ta, ogłoszona na 30 lat przed ustawowem wprowadzeniem powszechnego — dla kobiet i dla mężczyzn — 8 godzinowego dnia pracy, „odważyła się” na ograniczenie czasu pracy młodzieży do lat 16-tu do 10 godzin na dobę, zaś dnia roboczego kobiet dorosłych po ukończeniu 18 lat — do 11 godzin, jednakże w sumie nie do 66, lecz do 60 godzin na tydzień. Ustawodawstwo francuskie, objęte t. zw. kodeksem pracy, wprowadziło: obowiązkowy jeden w tygodniu dzień odpoczynku (u nas odpoczynek

niedzielny), zakaz pracy nocnej kobiet, wprowadzony przez konwencję międzynarodową z 1906 r., określone normy higieny i bezpieczeństwa przy pracy specjalnie w stosunku do pracownic i pracowników młodocianych płci obojej i wreszcie 8-godzinny dzień roboczy. W postęпах tego ustawodawstwa zwraca uwagę powolność tempa rozwojowego do czasu wojny i szybkość zmian na lepsze, dokonanych po roku 1918.

W ostatnich latach ankiety, przeprowadzone przez paryskie inspektorki pracy, stwierdziły znaczne polepszenie losu pracownic igły. W oficjalnem swem sprawozdaniu pani inspektorka Letellier pisze dosłownie: „każdy, kto wchodzi po raz pierwszy do wielkiej pracowni krawieckiej, mile bywa uderzony widokiem, przedstawiającym się jego oczom. Ma on przed sobą gromadę osób młodych (przy krawieczyźnie nie wolno się starzeć), dającą wrażenie pracowitości, wesela, świeżości i szyku. Nie takie wrażenie odbierało się przed laty dwudziestu, a w wielu pracowniach nawet w przededniu wojny“.

Poprawa, jak już wspomniano powyżej, zaznaczyła się przede wszystkim w usunięciu przeciążenia pracą. Prócz skrócenia dnia roboczego wpłynęła tu nader dodatnio większa systematyczność zatrudnienia. Inspektorki pracy zapewniają, że przedłużanie zajęcia późno w noc należy do przeszłości. Pracodawcy dali się przekonać, że robota, wykonywana w nocy przez pracowniczki źle odżywiane, przemęczone i przedenerwowane, aż nazbyt często jest niewiele co warta i pociąga za sobą konieczność poprawek przy niezadowolonych klientkach i wydatkach na światło. Właściciele magazynów uznają, że 48-godzinny tydzień pracy jest zupełnie wystarczający, i unikają nawet tych godzin nadliczbowych, które prawo pod pewnymi warunkami i w określonych wypadkach dopuszcza, i to ze względu na konieczność wynagrodzenia ich znacznie drożej. Nawiasem powiedziawszy, rozkład 48-godzinnego tygodnia pracy w krawiectwie paryjskiem jest tego rodzaju, że przez 5 dni w tygodniu pracuje się po 9 godzin, w sobotę zaś tylko 3 godziny, co zwłaszcza dla kobiet jest bardzo dogodnie, ze względu na potrzeby gospodarstwa domowego i załatwianie sprawunków. Z drugiej strony wzmożony eksport konfekcji z Francji pozwala unikać dawnych sezonów „ogórkowych“. Wielkie pracownie zwłaszcza czynne są przez rok okrągły, pracują bez przerwy, w miesiącach letnich głównie dla zagranicy.

Analogiczną poprawę można stwierdzić w dziedzinie płac. Staranie prowadzone przez większość pracownic rachunki wydatków i dochodów umożliwiają wgląd w tę sprawę i uwidaczniają sposób zużytkowania zarobku. Otóż płace z przed lat trzydziestu, wymienione na początku niniejszego artykułu, podając zestawienia dochodów i wydatków, dowodzą, że w owym czasie zarobek najczęściej nie wystarczał na opędzenie naj-

niezbędniejszych potrzeb. Pracownica przymierała głodem, jeżeli była dziewczyną uczciwą lub nie miała pomocy ze strony innych członków rodziny. Obecnie budżety pracownic z magazynów wykazują nawet w wielu razach przewyżkę zarobków nad wydatkami. Przewyżki te nie są tak znaczne, by pozwalały na odkładanie oszczędności na przyszłość. Zresztą stosunki walutowe we Francji przypominają w pewnym stopniu niestałość waluty polskiej i nawet na ten z natury przykładowo oszczędny naród wpływają zniechęcająco. Młode dziewczęta zużywają odłożone pieniądze na przygotowywanie sobie wyprawy, na rozrywki. Dużo stosunkowo zarabiająca jedna starsza pracownica przyznała, że oszczędności swe obraca na podarunki i przyjęcia dla dorosłych swych dzieci, posiadających już własne rodziny. W swej odpowiedzi na ankietę biedaczka we wzruszający sposób usiłuje wytłumaczyć się z takiej rozrzutności: w przeszłości swej zaznała tylu braków i prywacyj, że dziś, mając możliwość po temu, pragnie je sobie wynagrodzić, a za największą rekompensatę dla siebie samej uważa uprzyjemnianie życia pracującym jak i ona sama córkom.

W najlepszem położeniu, jak wszędzie zresztą, w każdej gałęzi przemysłu i w każdym kraju, znajdują się pracownice wielkich pracowni, mieszczących się w centrum Paryża. Magazyny te zatrudniają większość dziewcząt i kobiet poświęcających się szyciu i liczą po sto, dwieście, a nawet po pięćset lub tysiąc pracownic. Dalej od środka miasta rozsiane są średnie pracownie, pracujące przeważnie dla klienteli miejscowej. Wreszcie, na paryferji stolicy mody, położonych jest sporo małych zakładów, gdzie właściciele dopomaga w szyciu jedna lub dwie najemnice. Tutaj niewątpliwie i zarobek w sumie wynosi często mniej, niż w wielkich pracowniach, i warunki pracy bywają lichsze, trudniejsze dla kontroli inspektorek pracy. W każdym razie poziom tych warunków, naogół wzięwszy, jest wyższy niż przed laty.

* * *

Stwierdzenie poprawy w warunkach pracy i bytu Francuzek nie daje jednak prawdziwego obrazu, gdy bierzemy dla porównania okres przed i powojenny, bez uwzględnienia czasu wielkiej wojny. Po roku 1914 główni żywicieli rodzin — ojcowie i synowie, poszli wszyscy na front. Granice kraju zostały zamknięte. Dla podtrzymania hartu ducha wyrugowano nawet strój żałobny po poległych. Na fatalaszki w poprzednim i dzisiejszym okresie nie było ani środków, ani ochoty. Wówczas to tysiące pracownic znalazły się bez zarobku i bez chleba. Ich los jest jedną z kart tej książki, która opowiada o cierpieniach Francji w latach 1914 — 1918. Ale tym stronicom trzeba poświęcić oddzielne miejsce i oddzielną chwilę skupienia.

M. B. - Ł.

Z CYKLU SYLWETEK

MATKA MARJA URSZULA LEDÓCHOWSKA

Nazwisko znane zagranicą i popularne w kraju. Wie się, że wygłosiła przeszło 80 odczytów o Polsce w państwach skandynawskich. Że założyła szkołę gospodarczą i Seminarjum gospodarstwa domowego w Pniewach. Że pod jej patronatem jest internat w Warszawie dla studentów. Jeszcze coś i jeszcze coś. Całokształtu dzieła tego twórczego umysłu, tej czujnej wrzającej energii, nie ogarnęło może jeszcze nawet najbliższe jej otoczenie.

Zacząła rok 21, gdy wstąpiła do zamkniętego podówczas (1886 rok) klasztoru SS. Urszulanek w Krakowie. Przez lat 20 nie wychodziła po za progi zakonne, oddana wychowywaniu dziewcząt. W 1907 r. wypadło jej być w Rzymie dla załatwienia ważnych spraw klasztornych. Papieżem był wówczas Pius X. Zwróciła uwagę Jego Świątobliwości, że — ponieważ pod opieką SS. Urszulanek w Krakowie, jest dużo uczennic, Polek z Rosji, — należałoby zbadać warunki środowiska ich, a także rozwinąć pieczę nad dziewczętami, których rodzice nie chcą, czy nie mogą wysyłać na naukę do Polski.

Wyprawiona została na przewiady ona sama. Wkrótce potem, zabrawszy z sobą trzy siostry, otworzyła przy gimnazjum św. Katarzyny w Piotrogradzie internat, który prowadziła w charakterze osoby świeckiej. Trwało to do 1911 r., kiedy rząd rosyjski wysłał stan zakonny Matki Przełożonej. Zaczęło się wówczas prześladowanie.

Wiedzioną intuicją, Matka Ledóchowska jednak rok przedtem jeszcze, chcąc umocnić stanowisko SS. Urszulanek na północy, otworzyła gimnazjum rosyjskie dla dziewcząt polskich w Finlandji (Mezentacthi o 40 klm. od Terriok), kierując tym zakładem narazie z daleka. W 1911 r. dopiero, kiedy wobec szaleńczej przesładowań, już ani chwili dłużej nie mogła zostać w Piotrogradzie, przeniosła się do Finlandji, wysławszy na swoje miejsce S. Zaborską, jako kierowniczkę internatu. Jednak nie podobało się to władzom rosyjskim. Przyszedł z Piotrogradu rozkaz powrotu, w ciągu sześciu dni.

Co robić? — Jako austrijacka poddana, żadną miarą Matka nie mogła wpaść w ręce moskali. Bez namysłu więc, pod eskortą tajnej policji, pojechała do Sztokholmu. Wobec niepodobieństwa utrzymania nadal internatu w Piotrogradzie, postanowiła zwinąć go, a dla zapewnienia bytu siostrze i sobie, otworzyła szkołę języków obcych w Szwecji.

Przeszła wtedy Mateczka szalone niepokoje. Czy to się uda? — Bez pieniędzy. Bez wyrobionych należycie stosunków. Przytem lęk o siostry z pod zaboru rosyjskiego.

Wojna już szalała.

Ale, jak w każdym twardym przełomie, zwyciężyła tęga wola wytrwania i ta nieomylna Boża intencja, która prowadziła Matkę nad przepaściami. Szkoła powstała. Zapisano się odrazu przeszło 50 uczennic Szwedek.

Umocniwszy realne podstawy bytu, zaczęła teraz myśleć, w jaki sposób na obczyźnie dopomóc Polsce, która z wojny światowej musiała wyjść odrodzona, wskrzeszona, wielka — w historycznych swych granicach. Było to w czasie, kiedy powstał Komitet Sienkiewiczowski. Pod jego patronatem zaczęła wygłaszać Matka Urszula Ledóchowska odczyty o Polsce, które

po za stroną duchową, miały charakter propagandy. Rozbrzmiała cała Skandynawja głosem polskiej hrabiny o kraju, który budził się z półtorawiekowej niewoli, był zawsze przedmurzem kultury zachodu, bronił Europę przed najazdem hord barbarzyńskich i dążył do wskrzeszenia praw swoich, dziejowych. — Słodki głos jej przenikał serca Skandynawów. Mówiła przeważnie w językach miejscowych¹⁾. Mówiła nie tylko do inteligencji, ale i do mas szerokich. Jeździła po wsiach, po małych miasteczkach, wszędzie przyjmowana z zapalem.

Niewyczerpana w pomysłach, stworzyła ze szwedzkich uczennic kadry, współpracujące na rzecz Polski. Wyuczywszy dziewczęta mazura i krakowiaka ze śpiewkami naszymi, zaczęła dawać przedstawienia w Sztokholmie i Kopenhadze.

— Wytńczyłyśmy do 10.000 koron na cele narodowe — rzuca Mateczka, dodając jednak natychmiast, z tą swoją bystrą, impulsywną żywością:

— Tylko niech pani nie napisze czasami, że i ja tańczyłam. Tego jeszcze nie było — nawet dla Polski.

W czasie dni Kościuszkowskich urządzono żywy obraz. Młode Szwedki w kontusikach, ze sztandarami polskimi. — Była to uroczystość już czysto propagandowa, która wypadła przesłicznie i zostawiła wśród obecnych niezatarte wspomnienia.

W 1918 r., zwróciło się do Matki L. duchowieństwo duńskie z prośbą, o przyjazd dla zajęcia się dziećmi robotników polskich. Zamknęła więc szkołę swoją w Sztokholmie i postanowiła otworzyć szkołę gospodarczą w Danji, aby z dochodów jej utrzymać ochronę dla dzieci polskich. — Zakupiono dom w Aalborgu, wynajęto w pobliżu śliczną willę z dużym ogrodem, który miał być terenem praktyk gospodarczych i dostarczać szkole produktów surowych — jarzyn, owoców.

Zkąd pieniądze na te zapoczątkowania? — Znowu odczyty — źródło niewyczerpanych dochodów.

W lutym 1918 r., przyjęto pierwsze dzieci do ochrony, a zimą 1920 r., było ich już 40 w wieku od 1 roku do lat 10. Dużo sierot, z których starsze nie mówiły już wcale po polsku i byłyby wynarodowiły się szybko, adoptowane przez Duńczyków, którzy lubią dzieci i chętnie przyjmują za swoje małych Polaków. Po paru miesiącach już malcy nauczyli się rodzimego języka i, zrozumiałwszy, czym jest kraj rodzinny, nasłuchawszy się o jego rycerskiej przeszłości, zatęsknili do ojczyzny.

— Kiedy wrócimy do Polski? Kiedy? — padało coraz częściej.

W 1919 r., wyjechała Mateczka do Polski, żeby zobaczyć, co można tu zrobić, jakie pola leżą odłogi.

Przeniesienie całego sierocińca z Danji do kraju nie było łatwe. Należało przede wszystkim zdobyć kawałek ziemi, otworzyć dochodową szkołę gospodarczą, żeby móc utrzymać dzieci.

I znowu — zkąd pieniądze na kupno ziemi?

Z tą swoją niezmożoną, niewyczerpaną energią, z tą ekstatyczną wiarą w pomoc boską, zwraca się w którymś z odczytów swoich w Chrystjanji do narodu norweskiego, z prośbą o zaofiarcowanie jej 20.000 koron, na zakupienie posiadłości w Polsce, już zresztą

¹⁾ Wrażenia z tych przemówień pomieszcza Ernest Łuniński w książce „Echa wczorajsze“. Druk. Książki Polskiej. 1925 r.

upatrzonej (Pniewy w Poznańskim),⁷ gdzieby mogła założyć szkołę gospodarczą i otworzyć ochronę dla dzieci z Danji. Przyrzekła nadać tej posiadłości miano „Św. Olafa“, na cześć patrona Norwegów i na pamiątkę wspamiętania daru dla polskich instytucji.

Po powrocie z odczytu telefon. „Kto mówi?“ Konsul Stolt Nielsen. Wzruszony przemówieniem, zaofiarował od siebie owe upragnione 20 tys. koron i przyrzekł dodać jeszcze połowę tej sumy. Spełnił obietnicę, a gdy dziękowała mu przez łzy, dławiące głos, rzucił z głębokim rozrzewnieniem.

— Na to Bóg mi dał, bym innym dopomagał...

Kupiono Pniewy. Część sióstr została jeszcze w Danji z małymi dziećmi, dla których za uciążliwa byłaby podróż. Część z wiosną zaraz udała się do Pniew dla uprawy roli i przygotowania „domu“. Reszta, zabrawszy 22 starszych malców, wyruszyła w drogę 2/VIII 1920 r. otrzymawszy od kolei żelaznych duńskich z linii okrętowej skandynawsko-amerykańskiej wolny przejazd do Gdańska.

Gdy w Kopenhadze na świst syreny okręt zaczął się kołysać i oddalać od brzegu, dzieci zaśpiewały „Jeszcze Polska nie zginęła“. Oczy im błyszczały. Tworzyły promieniały. A Mateczka... Oh, co za niepokój!.. Bolszewicy już u wrót Polski. Lada dzień klęska...

Lecz dzieci śpiewały, a w serce wstępowała otucha: „Nie wejdą... Nie da się Polska“..

W Gdańsku, gdzie oddano Matce cały jeden barak,⁸ nadjechał okręt⁹ amerykański. Na nim kilkudziesięciu robotników polskich. Zainteresowani dziećmi z Danji, prosili, aby Mateczka opowiedziała im ich dzieje. Tego wieczoru jeszcze wygłosiła jedno z tych swoich gorących przemówień, po którym, schwyciwszy na ręce ze zwykłym swym spontanicznym odruchem najmłodszego z malców Wicusia, kazała mu powitać rodaków! Chłopczyk silnym głosem, ale po dziecinnemu zaśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła“. Powstał zachwyt. Sypnęły się dolary. Rozrzewnieni robotnicy na propozycję Mateczki odmówili wspólny pacierz wieczorny. Słońce, gasnąc, złożyło szmaragdową łakę, a jedno gorące „Ojciec nasz“ i „Zdrowaś Marja“ złączyło na zawsze serca, przed godziną jeszcze obce sobie, dalekie.

Dojechały dzieci do Pniew szczęśliwie. A w Gnieźnie, gdzie stał pociąg, zobaczyły pierwszy raz polskiego żołnierza. Jakież radosne powitanie! Wyspiewały cały repertuar pieśni patriotycznych. Złożyły na ręce Sióstr Miłosierdzia, dla rannych, swoje paczki z żywnością. I długo jeszcze zęgały ich z okien wagonu drobnymi rączkami.

Tu kończy się pierwszy etap wysiłków Matki Ledóchowskiej. Od 1920 r. powstaje zwarta, niezmordowana praca w dwóch byłych zaborach Polski, a także po części na kresach. Obraz jej znajdują czytelnicy w następnym numerze *Bluszcza*.

C. Walewska.

DWA ZWYCIĘSTWA KOBIECE NAD LA MANCHE'EM

Niespokojny, burzliwy, choć zaledwie na 32 klm. szeroki kanał La Manche—od szeregu lat stanowi najbardziej łakomy do zdobycia kasek dla elity pływaków i pływaczek całego świata.

Pierwszym człowiekiem na świecie, któremu powiodło się przepłynąć groźny „Channel“ i zapoczątkować tym sposobem całą serję późniejszych nad nim zwycięstw—był kapitan angielski Webb. Webb dokonał swegozwycięstwa nad La Manche'em w roku 1875, płynąc dwadzieścia parę godzin,

Dopiero w trzydzieści kilka lat później, w roku 1911, znalazł się na świecie drugi człowiek, który zatriumfował nad La Manche'em. Był nim Anglik Burgess, ten sam, który obecnie trenuje pływaków, zamierzających zmierzyć swe siły z kanałem.

Po Burgessie w różnych odstępach czasu jeszcze trzech pływaków, pomimo bez porównania liczniejszych prób, zdołało pochwalić się laurami listkami zwycięstwa nad La Manche'em. Ostatnim był Włoch Firabochi, (1923 r.) który dzięki zastosowaniu metody sprinterskiej (przepłynął La Manche zanim nastąpił drugi odpływ)—ustanowił rekordowy czas, 16 godz. 23 m.

Fakt, że na przestrzeni lat kilkudziesięciu pomimo ustawicznie przedsięwziętych prób zaledwie pięciu ludzi zdołało przepłynąć La Manche, dostatecznie chyba mówi o tych wielkich trudnościach, na jakie narażony jest kandydat na triumfatora Kanału. Trudności te są rozliczne; sam dystans już—32 klm.—wymaga od pływaków dużych sił fizycznych i wytrzymałości. Ponadto—niezmiernie uciążliwa jest walka z rozlicznymi prądami wód Kanału, niezwykle osła-

biająco działa słona woda morza, zaś najbardziej ciężką jest walka z drugim odpływem, który odrzuca pływaka od upragnionego brzegu. Wśród wielu prób przepłynięcia La Manche'u—nie brak też wypadków o zabarwieniu wybitnie tragicznym. W roku 1903 utonął Anglik Westermann w czasie przepływania Kanału.

Wśród wielu marzących o zwycięstwie nad Kanałem pływaków znajdowała się od dawna już niewielka wprawdzie, lecz wierna swemu pragnieniu, liczba pływaczek. Do ostatnich dni wszelkie czynione próby były daremne, Kanał silniejszym był od młodych dziewcząt, szyderczo chichotał z czynionych prób i zmuszał jedną po drugiej do gorzkiej rezygnacji po wyczerpującej, przegranej walce,

W roku ubiegłym—szanse atakujących na La Manche pływaczek znacznie się podniosły. Od wczesnej wiosny wśród szeregu innych pływaków i pływaczek rozpoczęła poważne treningi na La Manche'u Gertruda Ederle, dwudziestoletnia miss amerykańska.

Odrzucając na Gertrudę Ederle właśnie skierowały się oczy całego świata, upatrzone w niej jedyną kandydatkę na królową La Manche'u. Powyższą opinię świata najzupełniej usprawiedliwiła uprzednia wspinała karjera pływacka młodziutkiej amerykanki.

Oto—w latach 1922—24—Ederle była najszybszą na świecie pływaczką. Do niej należały wszystkie niemal rekordy pływackie na dystansach krótkich. Prócz tego Ederle posiadała najlepiej na całym świecie pod względem technicznym opanowany styl w crawl'u. Kiedy w r. 1924 Ederle wśród rodaczek swoich znalazła godne siebie rywalki, konkurentki, które wy-

dzierać jej zaczęły z rąk palme zwycięstwa, ambitna młoda miss zdecydowała przejść do innej dziedziny zawodów pływackich, w których nie mogłaby natrafić na godne siebie rywalki, w których niepodzielnie mogłaby błyszczeć sławą. Postanowiła dokonać czynu, na który nigdy żadna kobieta zdobyć się jeszcze nie potrafiła. Postanowiła przepłynąć pierwsza groźny La Manche.

Jakkolwiek pozornie wydawać się mogło niemożliwością zwycięstwo kobiety nad La Manche'em, szanse Gertrudy Ederle świat cały uważał począł jako jedno z najpoważniejszych. Wiadomo przecież o tem, że Gertruda jest najszybszą na świecie kobietą w pływaniu, że posiada najdoskonalszy na świecie styl, że ponadto jest niezwykle silną, wytrzymałą, ambitną i zaciętą. Już w roku ubiegłym uczyniła Ederle dwie próby przepłynięcia Kanału. Obie napróżno. W jednej z nich — była już blisko celu. Od brzegu dzieliło ją zaledwie kilkaset metrów. Lecz silne fale odpływu odrzucały dzielną pływaczkę wciąż dalej od brzegu, aż zmęczona i wyczerpana kilkunastogodzinna walka uległa przemożnej sile Kanału. La Manche — triumfował. Nie na długo wszakże. Wiosną roku bieżącego zacięta amerykanka wróciła nad La Manche z mocnym postanowieniem zdobycia zwycięstwa. Trenowała pod okiem wytrawnego Burgessa (zwycięzca kanału w r. 1911) długo i wytrwale. Aż wreszcie 6 sierpnia nadszedł dzień próby, który zamienić się miał nieodwołalnie w dzień zwycięstwa, sławy i triumfów.

Rankiem 6-go sierpnia wstał nad La Manche'em pogodny, słoneczny dzień. Ederle zdecydowała rzucić ponowne wyzwanie Kanałowi. Z przyłodka Gris Nez na brzegu francuskim wypłynęła o godz 7 m. 8 na spokojne fale La Manche'u.

Na pokładzie eskortującego ją statku płynęli — trener, ojciec Gertrudy, oraz kilka jej koleżanek. Na drugim stateczku — jechali kontrolerzy, prasa, fotografowie i nieliczny jazz-band, mający uprzyjemniać dzielnej pływaczce długie godziny wyczerpującej pracy.

W dwie godziny po wyruszeniu — pogoda sierpniowego poranka gwałtownie psuć się zaczęła. Zerwał się wiatr, który już do końca utrudniać będzie pływaczce posuwanie się naprzód. Grzbiety fal wznoszą się coraz wyżej, niebo coraz chmurniejsze, wkrótce — o godz 10-ej zaczyna padać deszcz. Warunki atmosferyczne są tak złe, że towarzyszący amerykance przyjaciele przewidują jeszcze jedno zwycięstwo La Manche nad siłami młodej amerykanki.

Pomimo złych warunków atmosferycznych, pomimo pesymistycznego nastroju swych towarzyszy — Ederle wierzy w zwycięstwo i zaciekle walczy z Kanałem. Bardzo szybko ustawicznie posuwa się naprzód. Brzegi Francji nikną z oczu. Wokoło nic nie widać na wielkiej przestrzeni morskich fal Kanału.

Po siedmiu godzinach pływania Ederle oddaliła się już o 12 mil ang. od brzegów Francji. Do lądu angielskiego pozostaje jeszcze 9 mil.

Równomiernie, spokojnie, niezmordowanie pracuje Ederle dalej. Coraz bliżej uprawnionego celu. O godz 20^{1/2} pozostaje do przepłynięcia już tylko 2000 jardów.

Na dystansie owych 2000 jardów rozgrywa się ostatni, najtrudniejszy, najbardziej męczący akt walki z Kanałem. Następuje odpływ morza. — Fale stawiają opór, wciągając upartą miss na pełne morze, utrudniając olbrzymio posuwanie się ku tak doskonale jej widocznym brzegom Anglii. Ederle zwiększa wysiłek swoich mięśni, nadzieja zwycięstwa dodaje jej nowych sił, walczy niespożyta energią swej mocnej woli.

Mija jeszcze jedna, ostatnia godzina walki. Nagle — czuje Ederle pod stopami grunt. La Manche zdobyty!

Marzenie Gertrudy — zdobycie zwycięstwa nad La Manche'em spełniło się. Owo spełnienie jest tembardziej cudowne, że Ederle nie tylko jest pierwszą kobietą — poskromicielką groźnego Channel'a, lecz ponadto okazała się lepszą od wszystkich pięciu mężczyzn, jacy zdołali przepłynąć Kanał. Osiągnięty przez nią czas jest o 1 godz. 53 min. lepszy od najlepszego czasu, uzyskanego na tym dystansie przez mężczyzn.

Triumf Ederle jest doprawdy niezwykły. Pierwszy to raz w historii sportu — kobieta zdołała osiągnąć wynik znacznie lepszy od wyników męskich. A przecież formułka matematyczna, oparta na badaniach teoretycznych i praktycznych określa siły kobiece na $\frac{3}{4}$ męskich.

Triumf Ederle — powtarzamy — jest doprawdy niezwykły. To też sława wszechświatowa, która tak spontanicznie, tak bez zastrzeżeń ją okryła — jest aż nadto zrozumiała. Z triumfu jej w jednakim niemal stopniu cieszyć się mogą zarówno ci, którzy chcą widzieć w nim znamiona wspaniałej siły fizycznej i techniki pływackiej, jak i ci, którzy zechcą uważać jej zwycięstwo za niezwykły rekord moralny: siły, woli i wytrwania.

* * *

Nie zdziwi chyba nikogo wiadomość, że fantastyczne zwycięstwo miss amerykańskiej nad La Manche'em wywołało nową fazę walk o przepłynięcie Kanału. Zdumiewającą rzeczą jest natomiast fakt, że następnym po Ederle zwycięzcą La Manche'u znowu została kobieta.

W kilka dni po triumfie Ederle — kilku pływaków spróbowało szczęścia z gorącym pragnieniem wygranej. Napróżno. Żaden nie zdołał przepłynąć La Manche'u, wszyscy zostali zwyciężeni.

W krótkie — w dniu 23 b. m., a więc w 17 dni po zwycięstwie Ederle, o godzinie 23 m. 30 wyruszyła na podbój La Manche'u rodaczka jej, miss Clemington-Corson z New-Yorku. Następnego dnia — o godzinie 15 m. 10, p-na Corson, oddalając się stopniowo od brzegów Francji, stanęła na lądzie angielskim. Płynęła 15 godzin 40 minut, a więc dłużej o 1 godz. i 10 minut od swej znakomitej poprzedniczki. Miss Corson również pobiła ustanowiony na tym dystansie rekord Tirabostriego.

Miss Corson, jak widzimy z podanych wyżej godzin — płynęła całą noc. Odżywiała się w tym czasie wyłącznie czekoladą i bananami. Płynęła mocno, szybko i równomiernie.

Tak samo, jak Ederle — płynęła crawl'em, tak samo walczyła u brzegów Anglii z odpływem morza. Dokonała wszakże pomyślnie tej niewiarygodnej trudnej i wyczerpującej próby, zdobywając sobie niezaprzeczone prawo do zasłużonej sławy o wszechświatowym rozgłosie.

Miss Corson, w przeciwieństwie do miss Ederle, nie była w opinii świata desygnowaną na triumfatorkę La Manche'u.

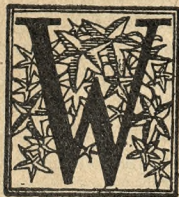
Po raz pierwszy spróbowała zwyciężyć Kanał w roku 1914.

Po wojnie przystąpiła niezwłocznie do ponawiania swych ambitnych prób, jak dotąd bezskutecznie. Aż wreszcie w roku bieżącym, zachęcona wspaniałym wynikiem swej młodziutkiej rodaczki, przystąpiła z nowymi siłami i mocniejszą wiarą w zwycięstwo — do jeszcze jednego usiłowania, wbrew radom licznych ekspertów. Świetne zwycięstwo, przewyższające najlepsze wyniki męskie, przewyższające zarazem najśmielsze oczekiwania, jest dla niezwykłej wytrwałości miss Corson zasłużoną nagrodą.

Obie amerykanki złotemi zapisały zgłoszkami nazwiska swe do historii sportu kobiecego XX wieku.

K. Muszałówna,

AMAZONKI POLSKIE W. XIX



ielka wojna światowa wprzegła i kobiety w swe jarzmo. Dzisiaj opowiadania o kobietach, które walczyły, nie wywołują już sensacji; kwestja pełnienia przez kobiety pomocniczej służby w wojsku staje się przedmiotem obrad sejmowych; obozy wojskowego przysposobienia kobiet cieszą się uznaniem.

Troszkę zżymania się tu i ówdzie — trochę szemrania od czasu do czasu — mniejsza o to. Fakt — faktem. Ale przed jakimis kilkadziesiątu — przed jakimis pięćdziesięciu laty jeszcze?!

Istnieje ogromna różnica między obecnymi a dawnymi zapatrywaniami na sprawę kobiecej służby w wojsku, a im większą, im jaskrawszą jest ta różnica — tem bardziej zajmującemi muszą nam się wydawać dzieje tych nielicznych jednostek, które brały udział w naszych walkach o niepodległość w ciągu całego ubiegłego stulecia — wbrew opinii, wzbraniającej kobietom „przytrudnego rzemiosła wojennego“...! Każde wystąpienie niewiasty z bronią w ręku było przecież wówczas prawdziwą sensacją i nielada odwagi trzeba było chyba, by się na nie zdobyć, łamiąc za jednym zamachem przepisy... dobrego ułożenia, przyzwoitości, moralności, zdrowego rozsądku, i t. d., i t. d., i t. d....

Co gnało do boju owe zuchwałe istoty (bo nie wszystkie kierowały się wyłącznie miłością Ojczyzny zapewne) — dlaczego szły i jak szły — w jaki sposób radziły sobie z potępiającą je opinią?

Najmniej żołnierzem wśród kobiet-żołnierz Polki w. XIX-go jest Marja Prószyńska, o której tyle tylko wiadomo, iż w pierwszych dniach bojów powstańczych na Litwie w r. 1831 towarzyszyła wraz ze swym ojcem walecznej hrabiance E. Platerównie. Niedługo zresztą. Sił jej nie stało, by wytrwać do końca. Musiano ją po drodze — chorą czy raną — gdzieś w jakiejś chacie pozostawić. Chłopi z Liksny i Dusiat, ścierający się pod komendą Platerówny z podjazdami Szyrmana, przeszli obok niej zwartą ławicą, nie oglądając się nawet, i losy wojny potoczyły się swoją drogą. Marja Prószyńska? — to taka sobie przeciętna szlachcianeczka: nie byłaby chyba zaciągnęła się w szeregi powstańcze, gdyby nie obecność jej ojca w tych szeregach — nie byłaby napewno nawet pomyślała o wojaczce, gdyby nie porywający przykład uwielbianej panienki likснаńskiej, hr. E. Platerówny!

Podobnie, jak o Prószyńskiej, cicho w dziejach i o dwu innych, nierównie dzielniejszych zresztą, wojownicach powstania listopadowego. Któż słyszał co kiedy o Tekli Sobolewskiej, lub o Magdalenie Wojciechowskiej? Cicho o nich, gdyż obydwie zamknęły sobie same drogę do łatwego rozgłosu sensacji, jak i do wszelkich prerogatyw wyjątkowego stanowiska w szeregach: obydwie służyły w męskim przebraniu, pod zmyślonemi nazwiskami, nie wyróżniając się niczem wśród swych kolegów broni. Dopiero po rozbrojeniu przez Austriaków oddziału Samuela Różyckiego, dopiero podczas internowania oficerów w Zatorze, dowiedziano się, iż porucznik strzelców Tomasz Łubieński — to Tekla Sobolewska, a niezwykle mężny rotmistrz Szeptycki — to Magdalena Wojciechowska, która walczyła z zamiarem pomśzczenia śmierci powieszonego przez Moskali brata.

Z myślą o zemście również szła do boju Wilhelmina Kasprowiczówna — dziewczątka szesnastolet-

nie... Proszę się nie śmiać: nie żart to wcale, ani też zabawa w żołnierzy. Dzieje krótkiego życia tej małej kobietki — to ogromna — bynajmniej nie dziecinna tragedia. Szesnastoletnia Wilhelmina Kasprowiczówna (słuchajcie! słuchajcie!) rzuciła swe wątłe siły na szalę losów powstania listopadowego w zamiarze pomśzczenia ofiar straszliwej rzezi oszmiańskiej, którą oglądała sama obląkanami z bólu i zgrozy oczyma! Utraciwszy w tej rzezi odrazu matkę, rodzeństwo i wszystkich najbliższych wstąpiła Kasprowiczówna w szeregi powstańców, by wśród nieszczęśliwych potyczek przeżyć jeszcze tragedję swej własnej niemocy i bezsily całego powstania — i zginąć wreszcie od kul podczas oblężenia Wilna — jako żołnierz 26-go pułku piechoty — jeden z wielu.

Barbarę Czarnowską powiodła do obozu gorąca, górna, egzaltacją tchnąca miłość Ojczyzny — no i przykład innych współczesnych bohaterek powstania listopadowego. Ale cóż: każda inna — niech tylko mundur żołnierski przywdzieje — już może za mężczyznę uchodzić — ta zaś ani męskim przebraniem, ani nawet zmienionem nazwiskiem nie potrafi kobiecości swej zamaskować — tak do gruntu — tak nieprzewyciężenie jest kobiecą! Musiała pójść za radą pocziwego majora Tyszki, który nie dawszy wiary wymowie nienazbyt dobrze zapewne dopasowanego munduru i rozpaczliwie zuchowatych ruchów, wskazał dziewczynie, jako jedyną właściwą dla niej drogę, słuzenie w wojsku bez ukrywania swej płci. Usłuchała go panna Czarnowska skwapliwie — tembardziej, że jej to zapewniało wyjątkową względność i opiekę gentlemanów-oficerów.

A potrzebowała naprawdę wyjątkowej względności i opieki ta bohaterka, która, odważywszy się opuścić dom swych opiekunów w Warszawie tylko po bardzo długiem pasowaniu się ze sobą i w jaknajgłębszej tajemnicy, — w obozie nawet kryła się jeszcze pod przybranem imieniem Bronisławy... ze strachu przed ewentualnym pościgiem! Oczywiście nie zawsze będzie „smarkacz“ kadet 1-go pułku jazdy augustowskiej gubił podczas szarży swój pałasz, by za chwilę powracać z nowym na plac — już pusty (jak to się zdarzyło pod Warszawą) — opanuje się po kilku następnych potyczkach — przewycięży wreszcie wstręt do rzezi — pod Sierpcami porwie nawet chwiejące się szeregi przykładem swego męztwa, zdobywając sobie wraz z uznaniem zwierzchników krzyż wirtuti militari i awans na podoficera — postęp to zaiste ogromny. A jednak — jednak — jeszcze po latach wielu — jako sędziwa matrona — będzie się Czarnowska dziwiła bardzo naiwnie swej własnej odwadze ówczesnej i usprawiedliwiała się nieśmiało: „Ja tak kochałam Ojczyznę, jak samego Boga“.

Jakże inaczej, całkiem odmiennie poczyniała sobie za czasów Księstwa Warszawskiego Helena Kurdwanówna, przedwcześnie wskutek śmierci obojga rodziców opieki pozbawiona. Niesłychanie czupurna i pewna siebie jeździła sobie osiemnastoletnia panienka po dworach województwa lubelskiego, wówczas jeszcze przez Austriaków zajętego, werbując młode szlachcianeczki do tworzonego przez się kobiecego wojska. To już nie patetycznie-ofiarne „porywanie“ za sobą walczących szeregów — to akcja na farsę zakrawająca — bezmiernie zuchwała — i bezmiernie naiwna zarazem. Dziecinna najoczywistsza — tak, prawda, ale godna przynajmniej... bardzo życzliwego uśmiechu. A ów werbunek! — to już nie lęklive wy-

mykanie się samopas z trwożliwym oglądaniem się na wszystkich opiekunów, ciotki, babki i prababki — to musiał być chyba kulig najhuczniejszy (szkoda tylko, że tak mało chętnych do niego!) — to była impreza, prowadzona z tak niezwykłą ostentacją, z tak niedwuznacznym lekceważeniem środków ostrożności wobec ichmościów kreishauptmanów z ich kreisamtami, iż Austriacy uznali w końcu za stosowne, gwoli spokojowi w zagarniętych ziemiach, mieć na oku — nawet ścigać zuchwałą dziewczynę. Wymknęła im się coprawda bardzo zręcznie — o pospolitem ruszeniu jednak kobiet województwa lubelskiego milczą dzieje.

Milczą legendy bohaterskie Polski o Helenie Kurdwanównie — niejedno powiadają za to o współczesnej jej — równie energicznej — nieco stateczniejszej może wojownicy: o Joannie — no, nie d'Arc coprawda, lecz bądź co bądź Żubrowej.

Z rodzaju kobiet, o których „hic mulier“ mówią, niewiasta nie pierwszej już i nie drugiej młodości nawet — szerokim, zamaszystym, twardym krokiem zdąża Joanna Żubrowa po raz obranej przez się drodze. Zrazu niby markietanka — to przecież nie jest wzbronione i nikogo nie dziwi — wędruje sobie z mężem — legionistą „z ziemi włoskiej do polskiej“, jako dobra gospodyni, dbała o wyżywienie żołnierzy... Okazuje się atoli niebawem, że ta dobra gospodyni wcale nie gorzej obraca szablą, niż warząchwą, że z tym samym impetem zawija rękawy, gotując się do starcia, jak je zawijała niegdyś, stając przy balji lub przy nieckach i że wreszcie, śmiertelne pociski nie więcej apsorbuja jej uwagę, niż absorbował przedtem grad niszczący zasiewy. A gdy się kobiecina odznaczy w r. 1809 przy wzięciu Zamościa, a potem w r. 1812 podobno i pod Smoleńskiem, radzi — nieradzi muszą generałowie uczcić jej zasługi. Śród wiarusów napoleońskich sama wiarusem się stała i już próżnoby jej prawić teraz o niestosowności tego wszystkiego, Joanna Żubrowa bowiem — tyleż mocna w języku co i w garści — napewno nikomu przegadać siebie nie pozwoli.

Niechże wędruje sobie pani Żubrowa w budującej zgodzie ze swym małżonkiem szlakami, wyznaczonemi przez geniusza Napoleona — oczywiście lepsza już taka zgodność upodobań w stadle małżeńskim, niż różnice do niesnasek jeno i wzajemnych żalów wiodące, jakie zaznaczyły się, na przykład, podczas kampanji polsko-rosyjskiej r. 1792 pomiędzy Antonim-piwowarem wołowiczowskiego browaru w Grodnie a jego wojowniczą żoną, która zaciągnęła się jako żołnierz do armji generała Zabielly — głucha na perswazje, błagania i lzy swego małżonka.

Szkoda łez. Naturalnie, jeżeli już iść to nie, ze łzami — tylko z takim zwycięskim śmiechem humoru i wesela, z jakim szła piękna Marja Raszanowiczówna, uczestniczka walk powstańczych na Litwie r. 1831. Marja Raszanowiczówna — to młodość, zdrowie, życie, uroda, animusz. Nie medytacje ponure nad „grobem Ojczyzny“, jeno nadmiar sił żywotnych, jeno niefrasobliwa brawura wiodą ją niebezpiecznymi ścieżkami przygód wojennych — ją, dawną wychowankę klasztoru panien benedyktynek w Krożach. Dwudziestodwuletni porucznik 25-go pułku piechoty liniowej — taki, o jakich nietrudno w powstaniu: ani tam znajomości elementarnych bodaj zasad strategji czy taktyki, ani najmniejszego wyrobienia bojowego, ani nawet pojęcia o służbie — to tylko, czego się nauczyło w prze-

ciągu paru miesięcy improwizowanej naprędce partyzantki... Racje militarne? — Mniejsza o nie! — To dopiero racja — iść przed siebie naoslep, nie pytając o liczbę wroga, z szablą w jednym — z pistoletem w drugim ręku! I jeszcze: towarzyszyć kapitanowi tego samego pułku — Emilji Platerównie — tak wiernie, tak pocztownie, tak bez cienia zazdrości, aż do końca — jak czyniła to Marja Raszanowiczówna.

Już to trzeba przyznać, że nie szczęściło się klasztorowi w Krożach z jego wychowankami: oto jeszcze jedna pupilka tego zakładu — siedemnastoletnia Antonina Tomaszewska, która, podobnie jak Raszanowiczówna, w przeciągu paru miesięcy r. 1831 na porucznika awansowała; ale tamta przynajmniej skończyła naukę — ta zaś właśnie od książek uciekła! Skok z klasztoru w szeregi wojackie — skok to zaiste nielada! A jeszcze na porucznika! A gdy się ma lat siedemnaście zaledwie!... Jak to tam było z tem porucznikowaniem bardzo zresztą dzielnego dziewczęcia — trudno sobie wyobrazić. Bądź co bądź podkreślić wypada (czy to wpływ nauk pobieranych w klasztorze, czy wrodzona dostojność i umiejętność obcowania) — potrafiła Tomaszewska pozyskać sobie uznanie otoczenia; starszyzna otaczała ją życzliwą opieką — żołnierze wielbili i, co ważniejsza, szanowali; w niebezpieczeństwie mogłaby być liczyć na wielu oddanych obrońców, ale liczyła na jednego tylko: na sztylet głęboko w fałdach odzieży ukryty — gotowa każdej chwili śmierć z własnej dłoni ponieść.

Powstanie styczniowe posiada jedną tylko głośną — i to wyjątkowo jak na ówczesne warunki, głośną wojownicę — oczywiście z doby, gdy nie przybrało ono jeszcze zdecydowanej formy partyzantki, gdy jeszcze próbowano skupiać znaczniejsze oddziały, staczać większe potyczki. Anna-Henryka Pustowojtówna¹⁾, córka rosyjskiego generała, — patriotyzmem podobna babce swej Kossakowskiej — po ojcu, znanym karciarzu i hulace, odziedziczyła jeno skłonność do awanturniczości i niefrasobliwą brawurę. Wspaniałe manifestacje — obchody patriotyczne ze śpiewami i przebieraniem się w narodowe stroje — ryzykowne ucieczki za granicę z pod nadzoru policji — to jej żywioł. Rzecz zrozumiała sama przez się, że pierwsze dni walk powstańczych nie gdzieindziej musiały ją zastać jeno pośród walczących szeregów: z takim temperamentem i z takim zdrowiem (skazana na wywiezienie do Rosji wyprosiła sobie Pustowojtówna ulaskawienie, powołując się na rzekomą chorobę płuc!) — nie siedzi się beczynnym w domu, gdy ziemia pod stopami drzeć zaczyna. Bez trudu znalazło się miejsce dla mężnej panny w blisko sto osób liczącym sztabie dyktatora Langiewicza — tem łatwiej się to stało, że weszło w tym wypadku w grę — jeżeli nie odrazu jakieś żywsze uczucie — to w każdym razie coś z kurtuazji względem kobiety. Co do tego żywego uczucia — urzędowy historyk powstania r. 1863 — Rosjanin Mikołaj Berg zapewnia solennie, że w owym gorącym czasie wojennym trudnoby było nawet myśleć o amorach i że „jeżeli nawet w przelocie schwyciło się całusa, to jeszcze niczego nie dowodzi“. Tak czy inaczej — jedno należy zaznaczyć na korzyść p. Pustowojtówny: do końca wytrzymała ona przy swym generale i z tą samą zimną krwią, którą okazała w bitwie pod Małogoszczą, towarzyszyła mu przez wszystkie etapy jego upad-



¹⁾ Właściwie: Pustowojtówna — nazwisko jej ojca — Rosjanina — brzmiało bowiem Pustowojtow, a nie Pus'owójt.

ku — od aresztowania na granicy austriackiej poprzez więzienie Tarnowa i Krakowa...

Nie tyle zapewne przez chęć naśladowania Pustowojtówny i zyskania podobnego rozgłosu, ile z racji własnych głębszych sentymentów towarzyszyła poznanianka Julja Preibiszówna dowódcy niewielkiej partji Jurkowskiemu, jako jego adjutant, by po rozbiciu partji z nim razem ująć za granicę... Przy boku Pustowojtówny zaobserwowano jeszcze jakąś dziewczynę — ułanę... Było jej na imię Karolina podobno... nazwisko nieznane... I jeszcze... i jeszcze... musiało ich tam być więcej — tych bez nazwiska — w męskim przebraniu wymykających się ze swych cichych dworów — do najbliższego boru — do najbliższej partji. Któż je tam dojrzy — kto odszuka ich ślady i dzieje ich spisze, skoro ówczesne warunki walki zmuszały właśnie do gorliwego zacierania tropów za sobą?

Rzecz szczególna: wśród bohaterek bojów polskich o niepodległość jedna tylko — dojrzała świadomością siebie i poczuciem odpowiedzialności za swe czyny — żywiła ambicje wielkie — za wielkie nawet na swe wątle siły. Tą jedną wśród wielu była hr. Emilja Platerówna — od lat najmłodszych entuzjastyczna wielbicielka Joanny d'Arc — żarliwa wyznawczyni kultu współczesnej bohaterki greckiej Bobeliny. Zawczasu zahartowana na trudy i prywatce, zawczasu wyćwiczona w strzelaniu i jeździe konnej, zawczasu wtajemniczona w arkaną naukę militarnych — słowem przygotowana do służby wojskowej — oczywiście z własnego popędu i własnym — nieraz wielkim — wysiłkiem. Rzecz rozumiała sama przez się: będzie — musi być — wojna o Polskę — a w tej wojnie p. Emilja Platerówna odegra rolę polskiej Joanny d'Arc! Wojna przyszła rzeczywiście (powstanie r. 1863), dając wreszcie dwudziestopięcioletniej już pannie świetną okazję do zrealizowania górnych zamierzeń; surowa, prawie zawsze posępna hrabianka poszła odrazu przebojem: przez kolizję z najbliższym otoczeniem (z całą chyba familją Platerów!), przez scysję z dowódcami poszczególnych partji powstania litewskiego, niekwapiącymi się do zapełnienia pannami tworzących się szeregów, przez ostre częstokroć wymiany zdań ze starymi generałami zapóźno przybyłej na bitwę regularnej armji, gdzie lada porucznik dyskutował przy ognisku obozowym na temat: czy kobiety powinny brać udział w bojach, a lada major zrzędził nieznosnie na „babską wojnę“... Wymowniej niż słowami broniła się małomówna hrabianka pełnem godności milczeniem. „Nikt w obozie“ zapewnia pułkowy adjutant Domejko „nie dopuścił się w jej obecności wymówić jakiego niedorzecznego słowa żartu, lub uchybić w grzecznem obejściu się“. „Skromna, bez żadnej nienaturalnej pretensji“ nie pokazywała się Platerówna nigdzie bez swej przyjaciółki — Raszanowiczówny. Obowiązki swe pełniła przykładnie. Walczyła mężnie — za wszystkich ambicznych i niezgodnych i nieudolnych generałów — za całe zdemonializowane wojsko poza granicą pruską szukające ratunku od zagłady; walczyła mężnie — aż do ostatnich granic możliwości — do śmierci... z wyczerpania. Była dobrym kapitanem. Aż kapitanem — i kapitanem tylko. Do miary Joanny d'Arc nie dorosła — w jednym tylko do swego wzoru podobna — jak tamta bowiem spłonęła na stosie ofiarnym. Tak, hr. Emilja Platerówna spłonęła: w ognjach ogromnego porywu — przerastającego jej wątle siły.

Gdy przed kilku wiekami zdarzyło się niejakej pannie Wielopolskiej pójść za swym wojowniczym popędem i gromić w męskim przebraniu tureckie i tatarskie hordy — tak się opinja przeciwko niej oburzyła, iż musiała dziewczyna rada — nierada do klasztoru

wstąpić. Z naszych amazoнок ubiegłego stulecia — a poczet ich był, jak widzimy, wcale liczny — żadna nie została do tej ostateczności doprowadzoną, jakkolwiek krytyki potępiającej ich czyny nie brakło — żadna zapewne nie wstąpiła do klasztoru z własnej woli. zresztą owa potępiająca krytyka w większości wypadków zmieniała się bardzo rychło wobec rzetelnych zasług — w szczerzy hymn uwielbienia — jakże często nawet... przesadny. Zwierzchność wojskowa nagradzała cnoty bojowe kobiet — żołnierzy pochwałami w rozkazach pułkowych, krzyżami *virtuti militari*¹⁾ i bardzo szybko awansami — aż do kapitana w piechocie włącznie — a nie można tego wszystkiego, oczywiście, liczyć na karb kurtuazji wobec kobiet tylko, tembardziej, że niejedna z nich z powodzeniem płeć swą ukrywała. Zastanawia jednak fakt, iż nie słyhać nic o Polkach, któreby przechodziły zupełnie regularną służbę wojskową w czasach pokoju — np., w armji Królestwa Kongresowego — na wzór wcześniejszej trochę Rosjanki Aleksandry Durowej, która swą kilkunastoletnią służbę wojskową potraktowała zupełnie fachowo — bo przecież nawet Joanna Zubrowa, wiarus napoleoński w spódnicy, jakkolwiek uznawana i ceniona przez władze wojskowe, była jednak w armji — używając groteskowego porównania — piątem kołem u wozu. Nasze bohaterki pojawiały się sporadycznie — wykwiły z ognia bojowego — i gasły wówczas, gdy ogień ten przygasał. Przeważnie więc nie posiadały żadnych kwalifikacyj na żołnierzy — prócz tej jednej — niezastąpionej: niewątpliwej odwagi.

Były ofiarne, naiwne ofiarne, niefrasobliwe przeważnie — i, za wyjątkiem paru, nieświadome siebie... Zapytane o pobudki, które je skłoniły do występowania z bronią w rękę, odpowiadałyby wszystkie zapewne słowami Barbary Czarnowskiej: „Ja sama, gdy się dziś zastanawiam, to nie pojmuję mojej odwagi. Ten entuzjam był wyższym ponad wszystko“. Szły, bo musiały iść, bo je gnało coś z czegoby same nie potrafiły zdać sobie sprawy, czy to był tylko nadmiar sił szukających ujścia, czy romantycznie awanturnicza chęć zasmakowania w niezwykłych przygodach, czy chęć pomśzczenia jakichś ofiar przemocy, czy poprostu najczystsza wola złożenia życia za umiłowaną sprawę wyzwolenia Ojczyzny. Szły — każda za siebie — nie śniło się żadnej o roli pionierki w jakimś ruchu kobiecym, o wywalczeniu dla kobiet wogóle stałego miejsca pośród obrońców Ojczyzny. Jedna tylko pomyślała o tem; nie o Kurdwanównie, oczywiście, mowa, bo ta niedoszła rotmistrzynie wymarzonej kobiecej chorągwi — nazbyt dziecinna jeszcze w swych pomysłach — nie może przecież być traktowana na serio — jeno o tej, która świadoma swych czynów i siebie, jedna wśród wielu żywiła ambicje wielkie — za wielkie w stosunku do wątych sił; tą jedną wśród wielu była hr. Emilja Platerówna, która napewno nie tylko reklamie czynionej jej na wychodźstwie przez najbliższych krewnych i przyjaciół zawdzięcza swój rozgłos i sławę, lecz i ogromowi tragedji swych wysokich nigdy niezrealizowanych w pełni porywów — a przecież i tej raczej o prawo walczenia chodziło — w pewnych momentach — w wyjątkowych okolicznościach, a nie o stałe miejsce w armji.

Postać Platerówny wybija się ponad inne postaci bohaterkich Polek, zasłania je glorią swej chwały — wdzięczne wspomnienie jednak wszystkim im się należy — lekkomyślnie zuchwałym — „mierzącym siły na zamiary“ — Pentesileom nadwiślańskim i nadniemeńskim, o których milczą dzieje.

J. Ginalska.

¹⁾ Zdobyły je trzy kobiety: Joanna Zubrowa, Barbara Czarnowska i Józefa Kluczycka — starszy felczer 10-go p. p. z r. 1863.

F. KRUSZEWSKA.

Hultajowi i Laleczkowi poświęcam.

P S Y

Ogon pyszny, puszysty, stalowe muskuły,
nos, jak atlas wilgotny, nadewszystko czuły.

Ciało wiecznie gotowe do gonitw i skoków,
łuki żeber wypięte nad wpadliną boków.

Oczy złote i krwawe, do ostatka wierne,
w nich kochanie bez granic, kochanie bezmierne.

Zęby białe i o tre, drapieżnie radosne,
gotowe każdą rozkosz pochwycić, jak wiosnę.

Ranek kręci nam w nosie i słońcem nas trąca,
dzień się toczy po niebie i mdleje z gorąca.

Poezja bucha parą z tłustej, pełnej miski,
radość z śliną płynąca napęlnia nam pyski.

Pracuje, węszy ciągle, szuka nos dyszący,
zęby, jak skwarę, zapach wyłowić drażniący.

Wyprężają się w biegu długie, zwinne nogi,
tu pachnie i tam pachnie! Przez pola! Przez drogi!

Biją w pędzie o ziemię elastyczne stopy,
upał zwichrzony kudły oblewa ukropem.

Hałas rozdziera uszy przeraźliwym zgrzytem,
gniew w piersi, gniew zalany ochrypłym skowytem.

Sen złowiony na słońcu lubieżnym przegięciem,
brązowa pchła zdławiona mrukliwym kłapaniem.

Świat brzęczący, jak mucha, w migotliwej przedzy,
jeszcze dalej przed siebie — ach pędzej, ach pędzej,

By wreszcie w pysk pochwycić pod skrwawionem niebem
wieczór pachnący dymem i razowym chlebem.

Od ranka, aż do nocy zadyszana praca,
której nie znają ludzie, mądrzy starsi bracia.



N. SAMOTYHOWA

WINOGRONA

Wizerunek syntetyczny, czyli paradoksalna rozprawa o kobiecie.

nacie zapewne winogrona, które ubiegłej jesieni zalewały przez czas jakiś Warszawę. Z okien sklepów spożywczych, z koszu owocowych, wzywały ich zielonożółte elipsoidalne jagody, o lśniącej, mocno obciągniętej skórce, jędrne i napęczniałe, nęcące dojrzałością i przeczuwaną w nich soczystością. Lecz kto uległ przynęcie, kto skuszony łudzącą ich słodyczą już biegł smakowitem pragnieniem naprzeciw rzeźwiąc j ich płynności, ten, rozgryzłszy owalną jędrność owocu i czując rozstępującą się pod zębami tężyzną skórki, trafiał na niewiarogodnie ciężką, mięsistą, mało-słodką substancję, całkowicie pozbawioną cudownej, oczekiwanej treści, krzepiącego i chłodzącego napoju Djonizosa, który rodzą promienie wrzesniowego słońca Prowancji.

Owoce te wówczas odrzucał ze wstrętem, z gniewem, z poczuciem zawodu i okłamania, o ile stać go było na tak zdecydowany czyn. Gdy jednak zbrakło zasobów na tak pański gest — przez drobnostkową oszczędność i lękającą się wszelkich strat kalkulację, lub poprostu, przez zniżenie wymagań do poziomu owej mdłej słodyczy, przesycającej ciężką mięsistość owocowej parodji, to tłumiąc grymas niesmaku, zjadał kupione winogrona i twierdził, okłamując siebie, że dobre.

Winogrona te, kłamające gładkim pozorem selektywnego owalu, natarczywie narzucające się owej jesieni oczom — władczo obecne i triumfujące swą mięsistą trwałością — winogrona te podobne są do kobiety.

Do „kobiety” — jaka jest, jaka była przez wszystkie czasy i jaka zapewne będzie.

Do jednego z „typów” kobiecych, jeśli wolicie.

Idzie ona krokiem pewnym przez świat i zajmuje wiele miejsca w życiu.

Rozpiera się szeroko, robiąc sobie drogę nieznanym skrupułów ruchem ręki, ciężkiej, dużej, może nawet białej, może nawet niekiedy, a obecnie prawie zawsze, „wymanicuirowanej”.

Wogóle ręką tą, ruchliwą, ale nieznaną pracy, „upycha”, układa, odmierza, lokuje, poprawia, podciąga, upieszcza, ugładza, wygładza, spina, związuje, supelkiem wzmacnia, a wreszcie, złożoną w kształt pięści, przytwierdza i przytrzymuje wszystko, co jej jest potrzebne, co jej do czegoś służy, co mogłoby się jej wymknąć, lub stanąć przed nią jako niezrozumiałe i nieobliczalne.

Na tem polega czynność jej życia. Bowiem pracy nie zna i nie zna tworzenia. Tworzą inni. Ona ma w końcach palców ukryty zmysł interesu — interesu bliskiego, najbliższego — własnej wygody, dobrobytu, dostatku — wogóle bytowania.

Bytowania. Bo jest, jak winogrona owe, uosobieniem materji, nietkniętej przez słońce bożego natchnienia.

Dla blakającej się tęsknoty dziecięcej i ślepej — tęsknoty wiecznej młodości, stanowi przedmiot złudzenia, około którego owija się lotna łodyga uczucia;

dla tęsknoty cielesnej stanowi przedmiot zaciekawień i nadziei;

dla świadomego, kupieckiego rozsądku jest towarem, nie nazbyt wykwintnym co do istoty swojej, zato o dużej wartości obiegowej — jak owe winogrona, nęcące zaokrągleniami owalu, mięsiste, o barwie zlekka żółknących liści.

Poznacie typ ten „au physique”.

Kobieta, o jakiej mówię, należy do wszelkich stanów. Staje się całkowicie sobą i dochodzi do doskonałości pomiędzy trzydziestką, a czterdziestką.

Zaczyna się już w małej dziewczynce, lecz tam szale wahają się jeszcze; „wychowanie” działa i niekiedy decyduje, jakim będzie „motyl”, co zbudzi się z sennej poczwarki.

Czy wielobarwny, piękny żeglarek, lub paż królowej, żyjący w świetle dnia, czy też złośliwa, żarłoczna żagnica-mniszka, lub kuprówka, ociężała obsiadająca drzewa i mimetyzmem chroniąca się przed zdemaskowaniem.

Mimetyzm jest cechą kobiety.

Aby przetrwać, przeslizgnąć się, ująć bystretemu detektywowi, próbuje dostosować się do otoczenia, osłania się łagodnością i uśmiechem, jak welonem, próbuje nawet wleciec i wówczas mówi nieswoim językiem, który brzmi obco w jej ustach, nieporadnie i sztywno uderzając w powietrze.

Sobą jest w otoczeniu najbliższem, gdzie, odrzuciwszy krępujące ubranie, rozłożysta i szeroka, przeważnie tęga, o ciele zlekka przywiedłem i rozlanem, w szlafroku, lub nieporządnie przyobleczona w pozornie strojne, lecz pozbawione smaku suknie — wypoczywa, mówiąc dużo, pieszcząc dzieci i ćwierkając słówkami i dźwięczkami do zwierząt, które lubi wypełniać dom. Z oddalenia kanapy przygląda się pracy innych i tą pracą zarządza. Zarządza ze znanstwem, despotycznie i głośno, lub przypochlebnie, nie wahając się czynić ze służącej powiernicy swych tajemnic.

Osobistego życia właściwie nie posiada. Takie życie wymaga pewnego ukształcenia duszy, rozmowy szczerzej ze sobą, rachunku sumienia, niematerjalnych kryterjów wartości.

Ona zaś nie ma kultury. Nie ma nawet o niej pojęcia. Obraca się bowiem tak dalece w sferze materji, że wzrok jej ma pole widzenia zamknięte.

W sferze tej jest wyszkolona i czujna. Ma zmysły wyostrzone ku poszukiwaniu; widzi i węszy doczesność i wszelką jej formę, która stała się przedmiotem użytku, słyszy najcichszy jej szelest. Lubi gromadzić, lubi posiadać, użytkować, móc użytkować.

Jak skrzętna mrówka ściga ku domowi wszystko, co zdobyć można, śpiesząc, jak niekiedy śpieszą mrówki, dźwigające ciężar większy od siebie.

Istnieje w niej pewna ambicja i zamięłowanie do rozgłosu, który zdobyć można zrećznie i szybko bez wysiłku i pracy.

Zasadniczo nie znosi myśli, ani nauki. Jest wrogiem książki i pracy umysłowej. Toleruje ją jedynie u mężczyzny, o ile przynosi dochód.

Nie istnieją dla niej bezinteresowne zamięłowania i zajęcia. Jest zaprzeczeniem wykwintu i wytworności wewnętrznej.

Ujmuje wszystko grubo i konkretnie, upraszczając wszelkie sprawy psychiczne, z jakimi się styka.

Przypomina jeźdźca, który u Wyczółkowskiego trąta na ciężkim koniu sliczne pole rozkwitających tulipanów.

Jest zaprzeczeniem psychizmu, pomimo że lubi się rozrzewniać, i że jest zdolna do „łezki” i łatwych zachwyty.

Pustkę umysłową przesłania zasłyszonym fraze-sem, który przyswaja sobie łatwo.

Jest narzucająca się i zaborcza, wszystkowiedna i o wszystkim mówiąca ze śmiałą pewnością siebie. Całe uzurpatorstwo jej występuje jaskrawo przy rozmowie istotnej, wymagającej polotu, samodzielnych wnioskowań i sondowania wgląd.

Jest „macierzyńska” — i szczyty się tem głośno, że jest dobrą matką, lecz „macierzyńskość” jej jest uczuciem samicy, która fizycznie odchowuje młode. Ogarnia je, odziewa, żywi, przystraja i przygotowuje do nowego macierzyństwa. Jest w tem podobna do roślin i zwierząt.

Macierzyńskość jej wyczerpuje się w odruchach instynktu i aktach czułości zewnętrznej.

W czym jej siła? Prawdopodobnie w dużej płodności, czyniącej ją podobną naturze i ziemi. Jej egoizm utrwała gatunek. Jest ona potwierdzeniem materji — samą materją. Rodzenie i trwanie są sensem jej życia.

Mieszkanie jej podobne jest gniazdu ciepłemu, lecz niechlujnemu.

Ręce wyciągnięte wołają ciągle: „dawać”! Musi mieć przy sobie mężczyznę, którego traktuje jako „dojną krowę”, zrećnie osłaniając drastyczność jego funkcji frazesami o obowiązkach męża, lub miłej hojności kochanka.

Często mówi o uczynionej przez siebie ofierze, którą „on” spowodował, sprowadzając ją z wyżyn komfortu i powodzenia do mizerji niedostatków.

Wówczas czuje się w prawie żądać dawania, żądać rewanżu, żądać odszkodowania za owo, rzekomo, zmarnowane życie, za ową „ofiara”, uczynioną świadomie i trzeźwo.

Mężczyzna — przeważnie bez sprzeciwu przyjmuje narzuconą sobie rolę — i, wbrew logice, którą rzekomo się rządzi, ustępuje wielosłownym argumentom czterdziestokilkuletniej lwicy, której niewinność i szczęście tak lekkomyślnie nadwyrężył.

Dostrzegam jednak pewną jej paradoksalną wartość w gospodarstwie życia.

Los, czy dobór naturalny, dają jej za towarzyszy mężczyzn przeważnie inteligentnych i twórczych, lecz miękkich i nieco leniwych, kontemplatorów i neurasteników.

Żona, czy towarzyska z typu winogron ciężkich, staje się biczem dla ich energii, łatwo słabnącej, dla ich życiowej niemocy.

Jest ona głosem brutalnej trzeźwości życia. Przynagla, jakby ostrogą i przypomina o potrzebach dnia codziennego. Wymaga, wyciska, podpędza, tresuje i urabia sobie doskonałą maszynę pieniężnorodną.

Dla niego zaś staje się bodźcem energetycznym, pośrednio wprowadzając w ruch drzemające talenty, aktywność i twórczość na polach życia.

Coś z niewolnika jest bowiem w mężczyźnie, którego los zbliża do tej kobiety — coś z nienasyco-

nego poszukiwacza i twórcy złudzeń, w mirażach znajdującego podniecie do posuwania się naprzód.

I kto wie, czy nie w tych tylko warunkach zdolny jest wyżyć się najmocniej.

Znane są dziwne historie miłości wielkich poetów, ich niezrozumiałe megalomanie duchowe: małżeństwa, lub współżycia, trwające do śmierci. Baudelaire, le comte de L'Isle Adam, Wyspiański.

Ich „megery” panoszyły się tuż obok ich cudownej twórczości.

I „mniejsi”, lecz wybitni w jakiejkolwiek bądź dziedzinie mężczyźni, często posiadają w domu żywą prasę, pod której tłokiem żyją i produkują „czyny”.

Winogronowa kobieta jest czujna nieustannie w kierunku spraw praktycznych. Praktycyzm ma w instynkcie. Stoi na straży swego dobra, cała zwrócona nazewnątr, od siebie. Nie zna spojrzenia w siebie, ani nie widzi siebie w zwierciadle — chociaż się w niem często przegląda. Droga wewnętrznych przemian jest jej zupełnie obca.

Każdą kobietę uważa za rywalkę, jawną lub ukrytą. Nie zna przyjaźni. Miewa „amies”, które obmawia. Jest nastawiona nieufnie, podejrzliwie i niechętnie.

Mając małą skalę odczuwań i myślenia, pomniejsza wszystko i wszystkich, widzi wszędzie intencje złe, lub małe.

Za jej zbliżeniem wędną delikatne kwiaty i zamykają się kielichy uczuć, znających swą wartość i godność.

Nie posiada wdzięku czynów, ani uczuć. Nie lubi ludzi, nie idzie hojnie i ufnie naprzeciw, nie ma szczerzej radości witania i dzielenia się.

Pomniejsza i przytłacza. Nie tworzy nic, prócz dzieci.

Jest wrogiem społeczności, która drażni jej egoizm.

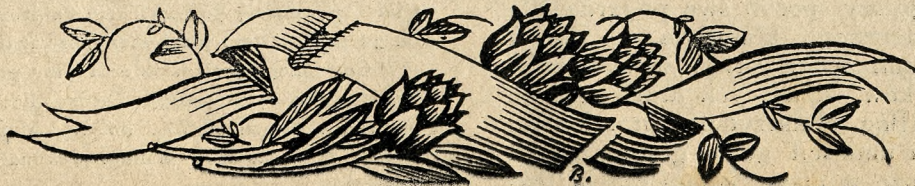
Ma ciężką rękę, mocną w przegubie, Stąpa pewnie i zdobywczą. W stosunku do świata jest pogromczynią. Gdy idzie, zdałoby się, że postacią swą rozdziera gąszcz, jak dzik, lub niedźwiedź. Nie znosi oporu. Nie ustępuje. Wysuwa się naprzód i pcha się pierwsza.

Dzięki zręczności i sprytowi, oraz niskiemu poziomowi życia, radzi sobie. Czasem próbuje „zaważyć” i „znaczyć”. Uduje się jej to przez biegłe operowanie pozorem.

Lecz wystarczy uważne spojrzenie, by ją poznać — po wyrazie twarzy, pochwyconym, gdy nie wie, że jest widziana, po brzmieniu głosu, po rękach i stopach, po ruchach i ubiorze.

Winogrona jesienne o złotym nabrzmiałym owalu są brutalne jak ona. Jak ona mają pozór słodczy i treści. Są złudną zapowiedzią bogactwa, gorąca, dojrzałości i pełni. Kuszące spojrzenie złotowłosej Dalili zasłania jej perfidję, sprzedajność, zdradę i brak duszy.

Lecz winogrona idą, rozchodzą się po świecie, nabywane przez naiwnych, spragnionych i zmysłowych.



PAOLO MANTEGAZZA

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

(KARTKA Z HIGJENY MIŁOŚCI)

V.

LISTY WILLIAMA i EMMY¹⁾

Czyń, coś powinien; niech stanie się, co ma być.
Wielkością człowieka jest jego obowiązek.

William do Emmy.

Londyn, 12 stycznia 18...

Proszę wybaczyć mi, że piszę, proszę wybaczyć mi raz jeszcze, że piszę, jak gdyby nie był to mój pierwszy, do Pani skierowany list, lecz setny i tysięczny. Ale prawdą jest, że słowa napisane uroczystsze są od wypowiedzianych i nigdy bardziej, niż w tej chwili, nie czułem tego, i wierzę, że mam prawo i tą również drogą skierować ku Pani swą myśl.

Już minął rok, jak Panią ujrzałem i pamiętasz — gdzie, kiedy i w jaki sposób. W niepewności, jaka mnie dręczy, cieszę się ową tak drogą pociechą, że i Ty, pani, pamiętasz ów dzień, ową godzinę i chwilę. I od owego dnia, Pani to wiesz, miss Emmo, myślałem tylko o Tobie, szukałem tylko Ciebie, żyłem jedynie z Twoim imieniem na ustach i z Twoim w sercu wizerunkiem. Kochałem wszystkie istoty ubrane błękitnie, czciłem bałwochwalczo i nieba błękit, i błękitne kwiecie, i wstęgi, bowiem po raz pierwszy ujrzałem Cię w białym stroju, przepasanym tej właśnie barwy szarfą. Wybacz mi, Pani, proszę, moje dzieciństwo, lecz ubóstwiałem też i głoski abecadła, tworzące Twe imię. W ciągu owego całego roku niewysłowionych nadziei i udręki nie do opisanego pragnąłem posiadać potęgę Napoleona, genjusz Byrona i bogactwa Rotschilda, by stać się godnym Ciebie, by móc do nóg Twoich rzucić potęgę, złoto i genjusz, i rzec: wszystko to jest Twoje, wszystko wzamian za jeden uśmiech, któryby mi powiedział: kocham cię.

Podążyłem za Tobą wszędzie: do Londynu, do Bath, do Włoch. Udało mi się bywać w domu Pani i zyskać przychylność Twojej ciotki. Czułem się wciągnięty w Twoją orbitę, i bez Ciebie i poza Tobą nie wiedziałem, czy żyję. I zawsze milczałem. Nieśmiały, wstrzemięźliwy, chwilami pełen przerażenia, że śmiałem Cię pokochać, milczałem i tylko spoglądałem na Ciebie.

Jednem spojrzeniem byłabyś mogła uczynić mnie najszcześliwszym z ludzi, mogłaś odepchnąć mnie od siebie nazawsze. Lecz Ty, Pani, pozwoliłaś mi patrzeć. A gdy w oczach moich zapalał się wszystek ogień mej namiętności i moich pragnień, gdy wybuchał potok moich myśli, które należały do Ciebie, wszystkie, gdy, spoglądając na Ciebie głęboko, gorąco i pełen drżenia, przemawiałem do Twych oczu wymową swoich źrenic, traciłaś częstokroć pogodny i melancholijny spokój swego oblicza i Twoje oczy również błyszczały i zagnała kryły swój ogień pod zasłoną powiek. O, nie mów, Pani, że mnie nie kochasz: nie uwierzyłbym w to. Nazwij mnie nierozsądnym, zarozumiałym; lżyj w najgorszy sposób swą pogardą, ale mi nie mów bezpożytecznego kłamstwa. — Ponad hipokryzję milczenia, narzuconą przez wychowanie, ponad mnóstwem języków, dzielących ludzi, czyniąc ich sobie obcymi, Pan Bóg obdarzył nas promieniem światła swojego raju i umieścił go w głębi naszych źrenic. Dwoje oczu może w ciągu jednej chwili roz-

pętać przeciwko sobie potoki żółci, pożary pragnienia, fale miłości: oko może nienawidzić, może pogardzać, może ubóstwiać, i drzeć, i wątpić; może pytać i odpowiadać, może rozkazywać, być powolnym, może przeklinać i może błogosławić. Może czynić wszystko, tylko nie kłamać. A czy Pani powiedziały mi, że mnie kochasz. A jeśli mnie kochasz, czemu mnie unikasz?

Unikasz mnie od miesiąca, od owego wieczoru, kiedy to na pokładzie Thynne'a przepływaliśmy razem przez Kanał. Wracając, Pani, z podróży do Włoch wraz z swoją ciotką, z podróży, którą i ja odbyłem, towarzysząc paniom zdaleka, zjawiając się i znikając raz po raz, bądź powodowany należnym konwenansem, bądź też przyciągany w orbitę swego słońca. Lecz Thynne przyjął nas pod wspólny dach i któregoś pięknego wieczoru, podczas spokojnego morza, przy księżycu, co krył się i jawił pośród gęstych obłoków dymu naszego parowca, siedziała Pani na ławeczce pokładu obok ciotki, która zasnęła, słuchając mej rozwlekłej gawędy.

Pozwalałaś mi, Pani, mówić a, spoglądając na księżyc, bawiłaś się, raz poraz, przechylając wdzięcznym ruchem główkę i — światło znikało poza czarną masą okrętowego komina. Nie wiem, o czym mówiłem, lecz mówiłem bez przerwy, bowiem słuchałaś mnie Pani chętnie. Nie widziałem księżycy, ani brzozy spienionej a cichej, jaką Thynne pruł w brązowych rozłogach Oceanu, widziałem tylko jedno: Twoje boskie oblicze, co kąpało się, rzekłbyś, całe w łagodnej i srebrnej poświacie księżycowej. Odrzuciłaś w tył kędziory, które w wilgotnym powietrzu nocy muskały Twe ramiona, dopóki kapryśny wietrzyk nie przerzucił znów twych splotów na policzki.

W owych chwilach jedna tylko rzecz budziła we mnie smutne myśli: był to widok brzegów Anglii, które coraz to wyraźniej rysowały się moim oczom. Przez cały wieczór wyrzekłaś do mnie tylko te słowa,

„Pomyśl pan! Żelazny słup zdoła zakryć cały świat, strzęp dymu może przesłonić morze światła. Jakie księżyc rozsiewa dokoła. Czyż nie jest tak również i z życiem ludzkim, z człowiekiem samym? Widzieć niebo i nie móc dotknąć go nigdy, przeczuwać Boga i nie słyszeć go, ogarniać światy i umrzeć na chorobę żołądkową?”

Nie pamiętam, co odpowiedziałem, lecz wiem dobrze, że upuściłaś Pani po chwili chusteczkę, na której opierałaś głowę. Schyliłem się, by ją podnieść, ręce nasze spotkały się i Twoja, Pani, dłoń uściśnęła moją. Jakaż otchłań otwarła się przedemną w owej chwili? Emmo, czas nie istnieje dla myśli, zegar nie zdoła zmierzyć poruszeń serca.

(c. d. n.)

¹⁾ W rękopisie moim listy Emmy napisane są ręką samego Williama, muszą być przeto kopją oryginału. Przyjacieli mój nie chciał z pewnością pozbawić się najdroższego swego skarbu, i ja, com go znał, jestem przekonany, że kazał pochować je wraz z sobą.

Coś innego jeszcze uderza przy przeglądaniu tych papierów: listy wybrane są z pośród bardzo licznych, jakie pisał William i Emma w latach od 18... do 18... Musiała to być czynność niezmiernie bolesna, lecz Willam dokonał jej z miłości dla Emmy, jako rzeczy pożytecznej.

Z. ZAWISZANKA.

CÓRKA BOGA

Lecz Joanna, choć czując się bliską śmierci, odpowiada stanowczo:

— Nie rzekę wam nic nadto, coście już słyszeli: jam dobra chrześcijanka, miłuję Boga i Jemu służę, chciałabym wspierać Kościół święty z całej mojej mocy. Proszę owo Kościół i wszystkich katolików o modły za mnie.

A potem ze smutkiem:

— Jam zawdy ta sama; przeto zbawicie mnie Wiatyku...

Daremnie grożą jej nawet, że nie będzie pochowana w ziemi poświęconej. Słusznie podnosi Hantaux, że rezygnacja na tym punkcie, w tej prosto wierzącej duszy, wzruszać musi więcej, niż ofiara życia.

Leczono ją bardzo starannie, gdyż Anglicy nie chcieli za nic, by zmarła śmiercią naturalną. Była już prawie zdrowa, gdy, 3-go maja, ukazał się jej Archanioł Gabriel, zagrzewając do wytrwania.

— Chceszli by Pan nasz ratował ciebie — to spuść się nań ze wszem! — obwieścili jej Głosy.

9-go maja, osłabionej jeszcze po chorobie, pokazano narzędzia tortur. Nieustraszona odpycha tę grozę mężną, a trzeźwą zarazem argumentacją.

— Zaprawdę, chociażbyście mieli wydzierać mi członki i duszę z ciała, nie rzekę nic inszego — a jeśli bym rzekła, to potem głosiłabym zawdy iżecie mnie siłą przyniewolili.

„Miłosierdzie“ upominana, by ufała raczej sędziom swoim, niż zjawom, które mogą być igraszką djabelską, wskazuje na jedyną swą, a wszechmocną ostoję:

— Odwołam się do Boga, do samego Boga. — Onego to jeno rozkazy pełnić chcę zawdy!

— Zaliś owo nie poddana Kościołowi?

— Wiernam jego sługa — wszelako Bóg przed wszystkimi pierwszy!

„Wszelkie racje i cała wymowa świata byłyby się rozbiły o serce tego dziecka“¹⁾. W owej chwili nie ulega już wątpliwości, że Joanna będzie spalona, jako heretyczka, szerząca swym przykładem zgubną samowolę religijną. Własne jej słowa, w tej wrogo tendencyjnej interpretacji, dają po temu aż nadto materiału. Lecz Cauchonowi to nie wystarcza; jemu potrzeba jeszcze, aby ona sama przed śmiercią przyznała się do błędu, wyparła się misji swojej. Żeby to osiągnąć, choćby pozornie, należało użyć środków niezwykłych...

Udręczoną już tyłu katuszami, wywleka ją, 24-go maja, z ciemnego lochu na plac targowy, przed wielkie zgromadzenie ludu. Wiosenne słońce, co przed dwoma laty błogosławiło zwycięskim bojom Dziewy, dziś naigrawa się z jej więziennej ziemistej cery, z chudości rąk, co już nie noszą sztandaru, jeno kajdany... Z wysokiej trybuny patrzy Joanna, oszołomiona, na morze głów pod jasną kopułą niebios, na szybujące wolne ptaki — i słucha półprzyciemnie długich wywodów kaznodziei, co ją publicznie tu, we francuskim mieście, nazywa „potworem, jakiego jeszcze nie miała ona kraina“! Lecz, gdy z ust jego padły słowa obelżywe o królu Karolu, rzuca się, jak podcięta biczem:

— Na moją cześć, panie — nie uwłaczając wam, śmiem rzec i ślubować, na żywot mój, iż owo chrześcijanin ze wszech najszlachetniejszy, którego najlepiej miłuję wiarę, a Kościół i całe takowy nie jest, jako gadacie!

Obrażony biskup zmusił ją do milczenia i dopiero po skończonem kazaniu głos zabracz pozwolił. Wówczas protestuje ona śmiało:

— Nie chcę, iżbyście onym porządkiem rzecz wiedli, żądam być stawiona przed Ojca świętego i niech on mnie sędzi! Sprawy me a słowa niechaj nie obciążają ni króla mego, ni kogobądź, I, jeżeli się w nich znajdzie błąd jakowy, moim on jest, nie inszego człowieka.

— Azali chcesz — pytają ją jeszcze — odwołać wszystkie twe mowy i uczynki, te, które potępione są przez kapłanów?

— Uciekam się z tem do Boga i do naszego Ojca świętego.

— Nie zdać się to na nic. Nie możemy iść do Ojca św., tak daleko!²⁾ Biskupi sprawują sądy kaźden w diecezji swojej.

I wszyscy księża skupiają się koło niej, powtarzając na różne tony:

— Wyprzysj się corychlej błędów twoich... nie chceszli zgorzeć na stosie!

Wobec trzykrotnie ponawianej odmowy oskarżonej, biskup poczyną wreszcie deklamować głosem donośnym strasliwą formułę ekskomuniki... Smaga — na przejmującemi słowy potępienia, błagana wciąż pocichu przez mnichów, by się ratowała jeszcze, Joanna woła wreszcie:

— Stójcie! poddawam się!

Lecz już w minutę później, czując, że na fałszywą wstąpiła drogę, próbuje się cofnąć, prosi o zwłokę. Daremnie! Rozwścieczeni sędziowie grożą jej, że natychmiast w ogień pójdzie. Słabnąca już w tem okropnem napięciu nerwów, uśmiechając się błędnie, podpisuje w końcu akt rewokacji niewyraźnem jakimś kółeczkiem, potem krzyżykiem.

Prawdopodobnie akt ów bardzo był różny od tekstu, odczytanego poprzednio na głos przez sekretarza sądu, księdza Manchon³⁾; krótszy znacznie, obejmował on przedewszystkiem wyrzeczenie się męskiego stroju. Korzystając ze wzburzenia ofiary, podsunęto jej inny papier, który zawierał wyparcie się uroczyste „Głosów“ i zupełne poddanie sumienia orzeczeniom trybunału. A może Joanna podejrzewała podstęp, skoro nie podpisała się wyraźnie literami, umiejac już przecież je kreślić?

Tymczasem na placu zawrzało od przekleństw i grózb Anglików, oburzonych, że „czarownicy“ na stos jeszcze nie wiedzą. Ktoś z rycerzy rzucił biskupowi słowo „zdrajca“! Nawet hrabia Warwick, nie rozumiejąc jego gorliwości, oświadczył sucho:

— Złe tu służą królowi, skoro Joanna się wyryka...

— Nie strachajcie się, wpadnieć ona jeszcze w ręce nasze! — uspokaja go Cauchon półgłosem. A ona, pod gradem kamieni, lecących z tłumu na trybuny, prosi, wyczerpana już do ostatka:

— Ninie zaś, ludzie Kościoła, wiedźcie mnie do swoich kaźni, iżbych nie była już w angielskich rękul... (c. d. n.)

¹⁾ A. France.

²⁾ A jednak rekursy takie były praktykowane w owych czasach!

³⁾ Jak później on sam zeznawał, a inni świadkowie potwierdzali.

WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI

W zgiełku dni majowych szybko zapomniano o stracie, jaką poniosło społeczeństwo polskie ze śmiercią s. p. profesora Władysława Smoleńskiego.

Straciliśmy nie tylko wielkiej erudycji historyka, badacza dziejów ojczystych, ale przede wszystkim wychowawcę i nauczyciela ostatnich kilku pokoleń. Urodzony w chwili wielkich nadziei, dorastał wśród depresyj najdotkliwszych — czasach odwetu moskiewskiego za powstanie styczniowe. Sytuacja w kraju była nad wyraz ciężka... Zasoby materialne zniszczone niemal do samych fundamentów, świeczniki oświaty narodowej zgaszone, dziesiątki tysięcy najlepszych synów na Sybirze. Naród wyzuty z zasobów moralnych i materialnych nie był zdolny do walki z najeźdźcą.

Wyłoniła się potrzeba zmiany metod walki: praca u podstaw bytu gospodarczego, praca na polu naukowym, a przede wszystkim zachowanie czystości duszy młodego pokolenia przed wynaradawiającym wpływem szkoły rosyjskiej. Smoleński podjął pracę w tym drugim kierunku i spełniał ją w warunkach najtrudniejszych i w godzinach pozabiurowych w dni świąteczne.

Obdarzony zniewalającą potęgą indywidualizmu w pracach swych był zawsze obiektywny. Przedmiot swych studiów ukochał niezastąpioną miłością, lecz miłością rozumną, która zawsze stawia wyżej prawdę ponad względy osobiste. To też z dzieł jego przemawia do nas niewzruszona pewność i prawda.

Celem było zdemaskowanie zgubnych tendencji teorii win własnych, które bezpośrednio godziły w podwaliny ducha narodowego młodego pokolenia.

Wtedy, gdy inni historycy okresu pozytywistycznego rzucają gromy na przeszłość, on ją rozważa, przechodząc od skojarzeń umysłowych do uczuciowych. Uważał, że trzeba dać żyjącemu pokoleniu polskiemu oparcie o przeszłość.

Okres jego pięćdziesięcioletniej pracy naukowej pozostawił bogatą spuściznę.

Pierwszymi jego młodocianymi utworami są wiersze drukowane od roku 1869 w pismach codziennych i czasopismach. Poezja jego jest impulsywna — uczucie w niej triumfuje. Obok wspomnień dzieciństwa sielsko-anielskiego — ogarnia świat metafizyczny — ludzkość całą.

Od roku 1875 ukazują się już stale prace historyczne, oparte na poważnych badaniach, które prowadził z niewyczerpaną energią i zamiłowaniem, aż po ostatnie dni życia swego.

Był autorem jednego z pierwszych podręczników historii polskiej, obejmującego całość dziejów, który dzięki wykładowi jasnému cieszył się wielką popularnością. Epoka, którą najgruntniej opracował — to koniec wieku XVIII, czasy budzących się odruchów zdążających do zbawiennych reform — ukochanym tematem — konstytucja 3-go maja, jako symbol moralnego odrodzenia narodu, jako najoczywistszy dowód jego żywotności.

I na polu wychowawczym niemiejsze są jego zasługi.

Przeszło czterdzieści lat udzielał lekcji historii polskiej na pensjach żeńskich jak: Sikorskiej, Czarneckiej, Krzywobłockiej, Rudzkiej, Walickiej, Morawskiej i zakonspirowanych; Domaszewskiej i w wyższych klasach Raczyńskiej.

Jak wiadomo, lekcje te odbywały się potajemnie. Wzruszenie było ogromne, gdy poraz pierwszy zebrano się na tajną lekcję, którą „nieznany nauczyciel“ zagaił przedstawieniem warunków, w jakich być musi prowadzona. — „Podejmujemy pracę katakumbową. Dla niej nie dośpimy godziny czasu, nie dopijemy śniadania, narażamy pensję, rodziców i siebie samych. Czynimy to z poczucia obowiązku poznania i ukochania zadań narodowych, dla których ojcowie poświęcali mienie i życie. Musimy zespolić się z wielką przeszłością narodu, przygotować się do odporności i walki z najazdem, usiłującym zabić w nas duszę polską.“ — Ze łzami w oczach słuchano tych wykładów.

Pod jego kierunkiem wykształciło się wiele pracowniczek na polu oświaty narodowej, tych, które mimo piętujących się trudności, z wytrwałością dążyły do raz podjętego celu — zdecydowane nawet na największe ofiary.

W wolnej Ojczyźnie Smoleński objął katedrę historii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Dzięki swej wielkiej wiedzy i nadzwyczajnym talentom pedagogicznym — roztaczał szerokie horyzonty, przygotowywał młodzież do samodzielnej pracy. Słowem i czynem zachęcał do wytrwałej pracy dla dobra odtądzonej Ojczyzny.

Z największą mocą wzywał do walki ze spustoszeniem moralnym, które zatoczyło szerokie kręgi w życiu społecznym.

W tym roku sędziwy starzec obchodził jubileusz 50 letniej pracy naukowej. Pisma i czasopisma wzmiankowały o uroczystości, jaka się odbyła na Uniwersytecie Warszawskim.

Wyrazem uczuć młodzieży był wręczony adres dn. 30 marca.

Czcigodny Panie Profesorze!

„Głęboki hołd składa Ci młodzież Uniwersytetu w 50-tą rocznicę pracy, poczętej w dobie najcięższego przesładowania, a prowadzonej w trudzie i znoju dla wychowania szeregu pokoleń w duchu obywatelskim i narodowym. Z dzieł Twoich przemawiają wieki chwały polskiej, siłą swego talentu budzisz, Czcigodny Panie, miłość do przeszłości, słowa Twoje nauczyły nas wiary w przyszłość Narodu.

W Niepodległej Ojczyźnie — życzymy Ci, Czcigodny Panie Profesorze, abyś nam przewodniczył za-rem uczucia i potęgą umysłu — po najdłuższe lata“.

Wzruszony do głębi, dziękował za uznanie.

Nieubłagana śmierć przerwała pasmo dni jego życia. Umarł na stanowisku, oddany wciąż wytrwałej pracy, niedbały o należne mu uznanie i wawrzyny.

Był jednym z najzasłużeńszych pionierów polskości w czasach niedoli, jednym z tych którzy w trudzie i znoju bojewali o duszę polską

Z. Okr.

Kobieta w świecie i w domu

DOMY DLA KOBIET.

Kryzys mieszkaniowy egzystuje nie tylko u nas — przeciwnie, w naszym kraju przejawia się on w daleko mniej ostrej formie, niż w innych krajach europejskich, np. we Francji lub w Anglii. Tylko, że tam ludzie daleko energiczniej biorą się zwalczania tego kryzysu, niż u nas...

W Londynie powstało przed półtora rokiem stowarzyszenie kobiece, którego celem jest budowanie domów dla kobiet niezamężnych i pracujących zawodowo. Przez krótki czas swego istnienia towarzystwo to zdążyło już wybudować około stu domów o mieszkaniach jedno lub dwupokojowych, zaopatrzonych we wszelkiego rodzaju najnowsze urządzenia. Niektóre z tych domów posiadają na parterze wielką salę do zebrań towarzyskich, urządzone na sposób klubowy, oraz kilkanaście pokoi dla przejezdnych pań, które nie chcą zatrzymywać się w hotelach. W tych nowobudowanych domach każda z członkiń stowarzyszenia może otrzymać własne jedno lub dwupokojowe mieszkanie ze wszelkimi wygodami na bardzo dogodnych warunkach. Kiedyż i u nas wreszcie powstaną instytucje na wzór tych londyńskich „domów kobiecych“?

OSIEMDZIESIĘCIOLETNIA DIANA

Paryskie pisma donoszą o osobliwej uroczystości, która się odbyła niedawno w Rambouillet. Osiemdziesięcioletnia księżna d'Uzès składała przed władzami miejscowymi przysięgę jako t. zw. „lieutenant de l'ouveterie“. Jest to tytuł sięgający swym początkiem czasów bardzo odległych, a upoważniający tego, który go nosi, do noszenia specjalnego, bardzo malowniczego munduru i polowania w lasach rządowych francuskich... na niedźwiedzie! Wzamian za ten nieco anachroniczny przywilej, obdarzony nim zobowiązuje się do utrzymywania rasowej psiarni myśliwskiej oraz wytepiania wilków w całej okolicy. Księżna d'Uzès jest pierwszą kobietą we Francji, której przypadł w udziale ów historyczny tytuł „lieutenant de l'ouveterie“, dotychczas udzielany tradycyjnie tylko mężczyznom, przeważnie z rodzin arystokratycznych. Osiemdziesięcioletnia księżna jest podobno zawołaną sportsmanką i dotychczas jeszcze bierze udział we wszystkich polowaniach na grubego zwierz, jakie się odbywają w okolicach jej zamku.

PRZEPLYNIECIE KANAŁU LA MANCHE.

Trudnego tego przedsięwzięcia, o które już nieraz przedtem kusiło się wielu wybitnych pływaków i pływaczek, dokonała w tym roku w niezwykle pomysłny sposób panna Gertruda Ederle. Jest to pierwsza kobieta, której się udało przepłynąć kanał, z pomiędzy zaś mężczyzn, którzy dokonali tego, żaden jeszcze nie pobił rekordu szybkości panny Ederle. Miała ona kilka współzawodniczek, między innymi pannę Clara-

belle Barrett, również doskonałą pływaczkę. Pisma sportowe z prawdziwym zachwytem opisują brawurowy rekord młodej Amerykanki, która wykazała podczas tych zawodów pływackich energię, siłę i wytrwałość prawie nadludzkie.

Z. B.

NA MARGINESACH ŻYCIA

Jest na Krzemienieckim zacienionym, starym cmentarzu mogiła zapomniana... Ścieżka do niej tak zarosła trawami, że przedzierać się przez nie potrzeba... Nikt tam nie chodzi, nikt wieńców nie składa... tylko wiąż płaczący chyli się i szemrze listkami niewyraźne żale.

Podobno jest u nas stowarzyszenie, które dąży do podniesienia w społeczeństwie czci matki, podobno obchodzono już gdzieś święto matki. Dziwnie bezosobowa widać jest ta cześć, dziwnie abstrakcyjna! Nie szuka się wzorów, nie ukazuje młodemu pokoleniu serc macierzyńskich, rozdartych najwyższym bólem ofiary ojczyźnie, nie stawia przed oczy miłości macierzyńskiej w aureoli pełnionego wiernie latami całemi obowiązku serca...

Bo gdyby było inaczej, ta ścieżka cmentarza nie zarosłaby trawami. Chodziłyby nią wycieczki młodzieży z całej Polski, wdzięczność pamięci i zachwyt nad pięknoscią jej życia niosąc na grób — matki olbrzyma. A tyle jest do powiedzenia młodzieży! Jak była mu nie tylko matką z krwi i ciała, ale i matką z ducha, jak wygnańcowi przecie, odejmując sobie od ust, słała grosze, by na obcej ziemi nie zmarł z suchot i głodu, a z nim, by nie umarło dzieło jego życia, które przeczuwała, w które wierzyła intuicją matki i Polki. Jak buntowała się przeciw przemocy i, idei ludowej Szymona Konarskiego poświęciwszy pracę, pokutowała za nią w więzieniu Kijowskim. Jak patrzyła na smutny upadek świetnego ongi Krzemieńca, na ruinę wielkiego kulturalnego dzieła, na powolne zamieranie polskiego życia. Jak Juliuszowego przedwczesnego zgonu cios wzięwszy w siebie, gasła cicho w gasnącej miścinie... Tyle jest do powiedzenia o niej, świetnej fantazji, bogatej uczuciem, niepiszącej poetce romantycznej...

Ale, choć odżyło Liceum, choć się w niem gromadzą setki młodzieży, ścieżka wiodąca do grobu matki Słowackiego zarosła zielem i chwastami. Nikt tam nie chodzi. Seminarzystki z listami Juliusza w rękę, nie siadają w pobok, by wżyć się na chwilę w atmosferę tamtej epoki, by oddać cześć wielkim duchom i wielkim sercom, by zrozumieć to, czego na lekcjach literatury pewno nie zrozumiały...

Cisza tam siadła i milczenie przechadza się w krąg tajemniczym, bolesnym stąpieniem...

Są i dziś ludzie, co, jak wierzą, tak mówią, a jak mówią, tak czynią.

Gdyby jakiś nowożytny Djogenes z latarką w rękę chodzić zaczął po ziemi polskiej, szukając takiego człowieka, wzięłabym go za rękę i zaprowadziła do ubogiej chaty osadniczki wojskowej pod Grodnem.

Nie dla dochodów z ziemi przyjęła wyznaczoną jej działkę, nagrodę za trud nadludzki sanitariuszki na froncie jeszcze w wojsku legionowem, a potem w armji Rzeczypospolitej, ale dlatego, żeby, jak mówiła „zawrzeć braterstwo z ludem tamtejszym“.

Tej idei wierna mieszkała przez lat parę w ziemiance, nim zdołała wystawić chatę, i dziś własnymi rękami sieje, żniwo zbiera z pól. Zastałam ją w grubej odzieży, ze spaloną od słońca i wicherów twarzą, podwiewającą na wielkim przetaku złote ziarno zbóż. Słońce zachodziło i kładło się złota poświata na dachu jej chaty, na kwiatowe rabaty ogródka, a ona mówiła jak pacho się to braterstwo. Lud okoliczny, widząc ją pracującą własnymi rękami, uznał ją za swoją, kocha ją, nigdy szkody nie robi, nawet mali pastuszkowie nie wpuszczają nigdy krowy ni gęsi w jej zagony. Powoli, stopniowo zdobywa zaufanie ludu, aż porwie go na słoneczną drogę oświaty, pracy, wyższych celów życia...

Smutno jej, samotno; w zimowe wieczory jęczy wicher za ścianą; wieść od świata nie dolatuje żadna... ale siłaczka polska nie da się zatrzeć, zniechęcić, złamać...

Życie jej zaczyna być już pełniejsze. Już przywlokła się za nią jakaś niedola ludzka, której oddała najlepszą izbę swego domu, już jakiś bezrobotny cieśla, dawny jej uczeń, zgłosił się do współpracy, już przyciągnął za nią z jej stron rodzinnych jakiś chłopak, którego źle instynty leczą dobrocią, pogodą pól i pracą. Z domownikami swymi siada do jednego stołu, ta inteligentka polska, ta jedyna prawdziwa chrześcijanka, jaką znam...

Dni jej płyną w trudzie codziennym i wielkiej pogodzie mocnego, świadomego dróg swoich ducha.

A teraz opowiem wam historję, ręczę, że prawdziwą. Prosta, zwyczajna, ale są w niej momenty, które utwierdzają w człowieku wiarę w moc Dobra. Dlatego wam ją opowiem.

W dzień targowy szła zakonnica przez hale Żelaznej Bramy. Zatrzymał ją tumult jakiś, zgłębł... historja, jakich wiele. Kobieta jakaś ukradła ozór.

Jak zwykle w takich wypadkach, tłum jest niemilosierny: „bić złodziejkę!” — wołały przekupki; „policji ją oddać!” krzykali przechodnie. „Bić! Bić!”.

Ale rzeźnik, żyd, któremu kobieta ukradła ozór, niewiedomo dlaczego, okazał się względniejszym od tłumy. Bić nie pozwolił i policji jej nie oddał. Zawstydzoną, nieprzytomną prawie puszczo no bezkarnie. Zakonnica spojrzała na twarz złodziejki. Była bardzo sympatyczna, niezmiernie znużona i nieludzko smutna.

Zakonnica poszła za nią.

Trzymając się w pewnym oddaleniu, ale nie spuszczać jej z oka, szła. Minęły bogate dzielnice miasta i spuściły się w dół, w zaułki Powiśla. Tam, do jednego z domów, zamieszkałych licznie przez ubogą, wyrobniczą ludność weszła kobieta. Zakonnica poszła za nią po schodach... i kobieta znikła jej nagle w którychś drzwiach długiego korytarza.

Intuicją wiedzioną zapukała do jednych z nich i nie wiedząc na pewno, czy ma do czynienia z tą samą osobą i nie wiedząc, jak zacząć rozmowę, spytała:

— Czy to pani „kupowała” dziś ozór za Żelazną Bramą?

Ale na te słowa kobieta uniosła się gniewem i kazała zakonnicy wyjść za drzwi.

— Niech pani mnie nie wypędza, mam pani tyle ważnych rzeczy do powiedzenia...

A w kobiecie coś się załamało nagle. Wybuchnęła strasznym płaczem. I zakonnica została.

W izbie, na nędznym tapczanie kończył dni swoje młody suchotnik, najstarszy syn owej kobiety. Doglądała go siwa staruszka o dostojnej twarzy polskiej matrony: to jej matka! W kącie na ziemi czołgało się dwoje małych dzieci, zidjociałych z nędzy; tu i tam niespokojnie chodziła półobłąkana siostra „złodziejki”.

Losy tej rodziny, to losy wielu dziś rodzin polskich. Było im dobrze, gdzieś, na Kresach; potem przyszła burza wojenna i odartych ze wszystkiego zagnała na to warszawskie poddasze. Dopóki syn najstarszy zarabiał, żyło się nędznie, ale żyło... od kilku tygodni on już nie wstaje, wyprzedano się wszystko, a w dodatku za parę dni wyrzucą ich na bruk, bo dom ma być nadbudowany.

Z ciężkiem sercem wyszła zakonnica z tej otchłani nieszczęścia. Oddała im wszystkie pieniądze, jakie miała przy sobie. „Ale coż to znaczy! Co dalej? Co zrobić z nimi zwłaszcza, gdy wyrzucą ich z mieszkania? Wszystkie baraki pełne! Wszystkie drogi ratunku zamknięte, czy zajęte przez innych!”

Pytania te dręczyły ją przez cały dzień i nieopuszczały podczas zajęć szpitalnych.

Pod wieczór przybiegła do niej dziewczynka, siostrzenica znajomej maglarki.

— Ciocia — mówiła — jest bardzo chora, już ksiądz był u niej, ale mówi, że nie umrze, dopóki siostry nie zobaczę.

Nie na rękę były zakonnicy te odwiedziny. Nie miała czasu. Zresztą, cóż jej pomoże.

Ale maglarka przysłała po raz drugi. Zakonnica poszła do konającej.

Tu dowiedziała się, że maglarka oddaje jej pod opiekę siostrzeniczkę i mieszkanie, przytem magiel i błaga o przyjęcie tych wszystkich darów razem.

Zakonnica przyjęła.

Po śmierci maglarki osadziła w mieszkaniu rodzinę nędzarzy z Powiśla; magiel stał się dla nich odrazu środkiem utrzymania. Spragnione trudu ręce dostały pracę. Półobłąkana siostra, niegdyś artystka, śpiewawca, której pożar teatru odebrał nagle głos i równowagę psychiczną, z zapałem kręci dziś korbę magla i wesołą rozmową zabawia przybyłe z bielizną służące. Dzieci, karmione mlekiem, odżyły i zaczynają nabierać ludzkiego wyglądu, tylko piękny młodzieniec, suchotnik odszedł na przeznaczoną mu na Bródnie placówkę, ale odszedł z wiarą w Opatrzność, z ufnością w świętość serc ludzkich, bez goryczy, rozpacz i żałości.

Prawda, że ładna historja?... Choć taka prosta! Bo i cóż w niej takiego? Ozór, magiel! Proza i pospolitość codziennego życia!

A jednak, jest w niej coś. I niech już tak zostanie zapisana na marginesach otwartej dla wszystkich księgi życia. *Andrea.*



TEATR POLSKI

„Nadzieja” Heijermansa, dramat w 4-ch obrazach. Przekład J. Kasprowicza.

Jesteśmy w wiosce holenderskiej. Mieszkańcy tej nędznej osady żyją z morza, a raczej, za cenę życia i ciągłego zmagania się z groźnym żywiołem, ciągną zeń środki do egzystencji. Morze wabi ich ku sobie, ale i odpycha. Wiedzą, że to przyjaciel zdradliwy, że dziś hojne i łagodne, jutro pochłonie ich bezlitośnie, jak pochłono ich ojców, dziadów, pradziadów.

Wyjeżdżając na połów, nigdy nie są pewni, czy wrócą do rodzinnej chaty, a tragizm tej niepewności potęguje uczucie, że na nic nie zdadzą się bohaterskie wysiłki ni odwaga osobista: życie ich zależy od kaprysu morza...

Sprzymierzeńcem morza, a wrogiem rybaków, są właściciele statków. Zachłanność ich jest bezgraniczna, a serca oschłe. Jedne jedynie mają pragnienie: zdobyć majątek. Są ku temu dwa sposoby: dobry połów, lub zatonięcie wysoko ubezpieczonego statku. Zrozumiał to oddawna p. Bos. Kupił stary statek (jakby na urągowski nazywał go „Nadzieja”), zaasekurował wysoko i wyprawił na połów śledzi. „Nadzieja” jest zmurszała, jest to „pływająca trumna”, jak się wyraził cieśla okrętowy. A cóż to jednak obchodzi pana Bos? On chce mieć pieniądze; za śledzie, lub za „Nadzieję”... Wszystko jedno. Dwa są sposoby zdobycia majątku... A załoga? Jadą, bo jechać muszą, bo sprzeciwienie się woli szypira oznacza utratę zarobków, a co zatem idzie — nędzę... A nędzy dość jest w wiosce... Widmo jej straszy we dnie i w nocy... Lęk przed tem widmem zmusza starą rybaczkę do złożenia ofiary z ostatniego syna. Chłopak opiera się, odczuwa paniczny strach przed morzem, nie chce zginać jak bracia i ojciec. Matka pastwi się nad nim, wydrwiwa jego tchórzostwo, własnoręcznie pcha w objęcia śmierci.

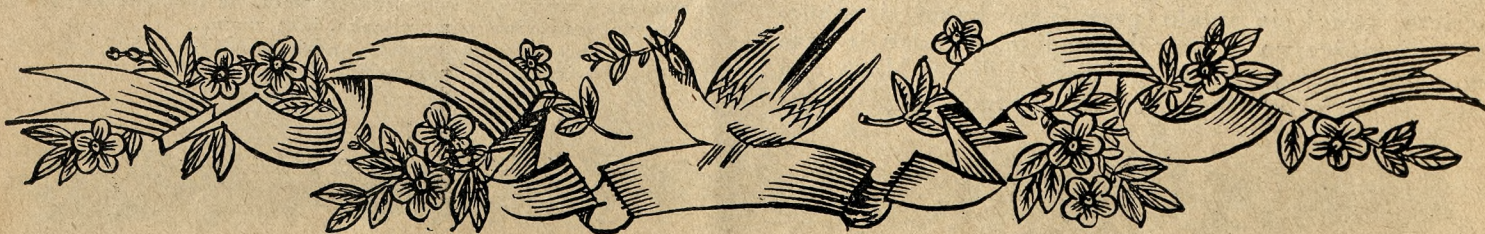
„Nadzieja” nie wraca. Ponure obawy sprawdziły się. Pan Bos nie będzie miał na składzie śledzi, ale kasę zapełni w inny sposób: premją asekuracyjną wyrówna mu stratę. W wiosce powiększy się ilość wdów i sierot, a pan Bos złożył wspaniałomyślnie ofiarę dla najbiedniejszych i wszystko pójdzie dawnym trybem... Inny Bos kupi inną „Nadzieję”, ilość wdów i sierot wzmrośnie znowu...

Potężny dramat Heijermansa, powstał w epoce rozkwitu teatru naturalistycznego. Autor odmalował życie rybaków holenderskich z realizmem okrutnym, a jednak nie przekraczającym granic sztuki. Dlatego może nie jest „Nadzieja” sztuką przestarzałą i nigdy nią nie będzie, chociaż wiele na szczęście zmieniło się od chwili jej napisania.

Talent Heijermansa sprawia, że przeżywamy jego dramat z tem samym napięciem nerwów, z jakim przeżywaliśmy go za młodu. Są w nim elementy ludzkie głęboko tragiczne i poetyczne, wobec których blednie społeczna teza sztuki.

W przedstawieniu „Nadziei”, w Teatrze Polskim, uderzyła nas przedewszystkiem wnikliwa reżyserja p. Borowskiego. Pan Borowski wczuł się w poezję potężnego dramatu Heijermansa i w psychologję jego bohaterów. Dyskretnie podkreślił jedne momenty, stuszczał inne.

Na równym poziomie stała gra artystów. Właściwie należałoby wyliczyć wszystkie osoby wymienione w afiszu, gdyż nie było tym razem roli złe obsadzonej, lub złe zagranej. Wymieniam panie: Kuninę, Munclingerową, Skibińską, Modrzewską, oraz panów: Daczyńskiego, Gawlikowskiego, Samborskiego i Małkowskiego. Oprawa dekoracyjna pana Frycza bardzo ładna. *Z. P.*

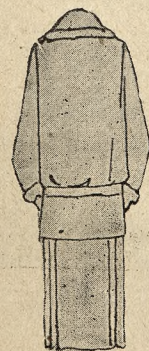




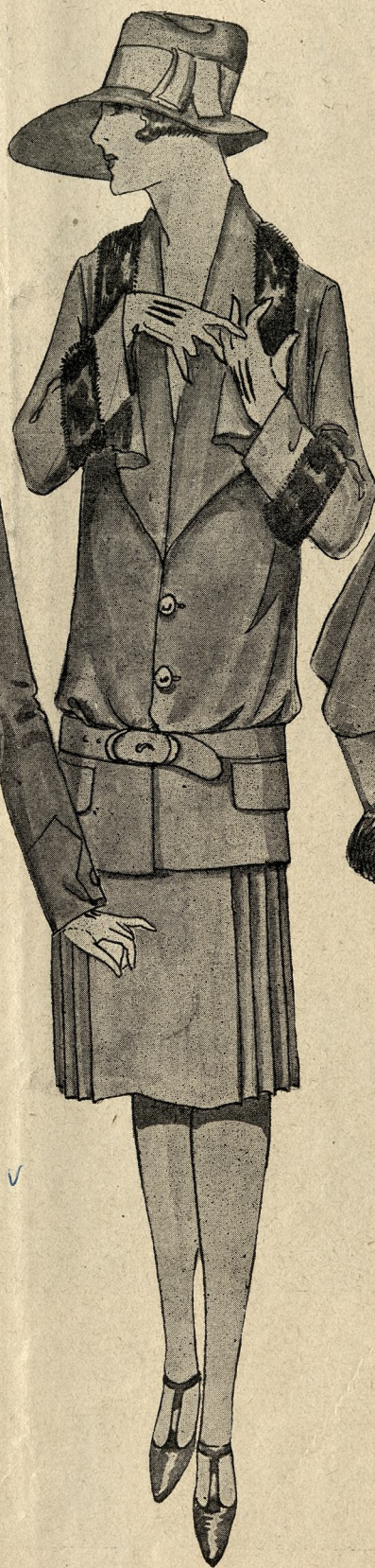
MODY I ROBOTY



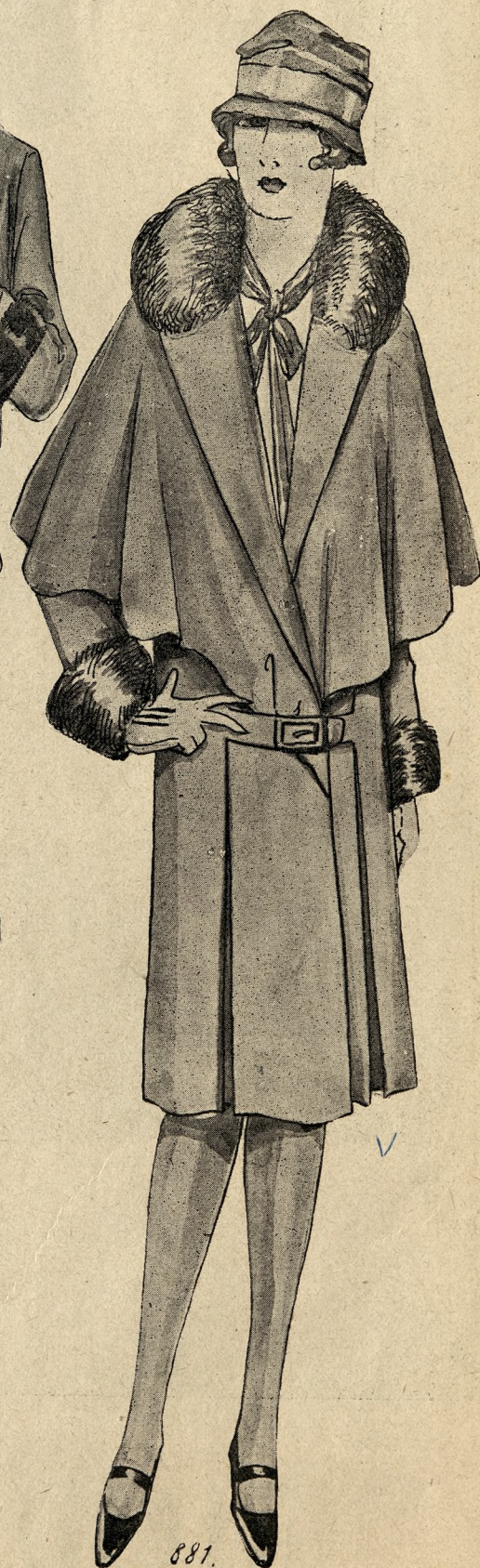
878.



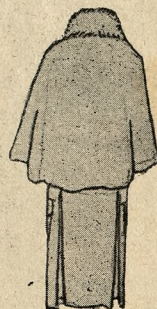
879.



880.

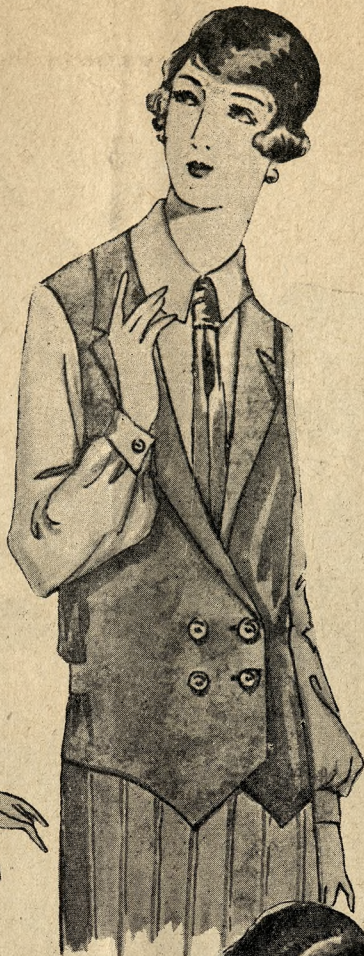


881.

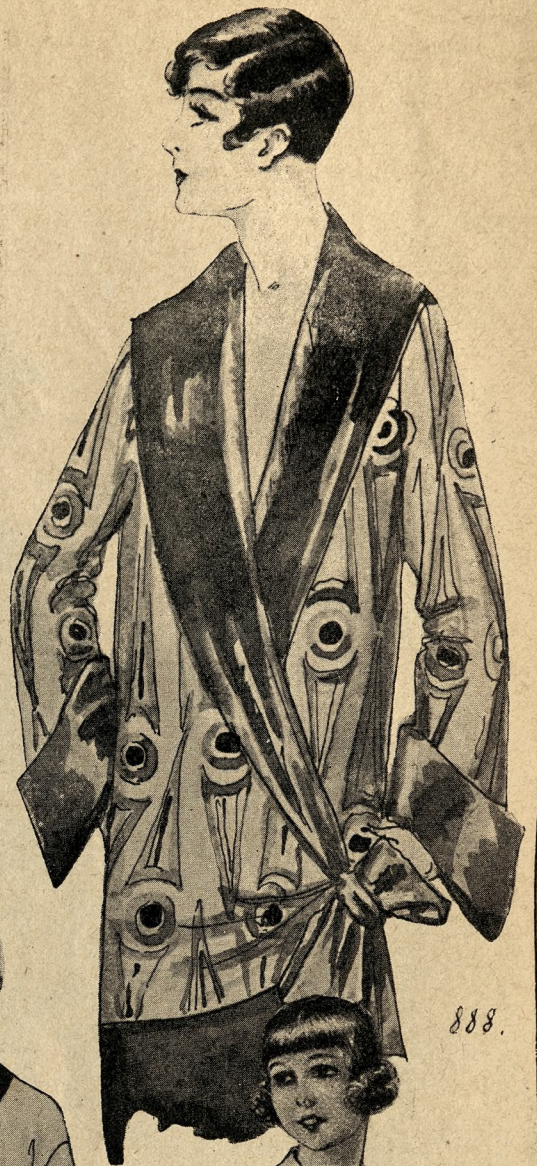




886.



887.



888.



889.



890.



891.



892.

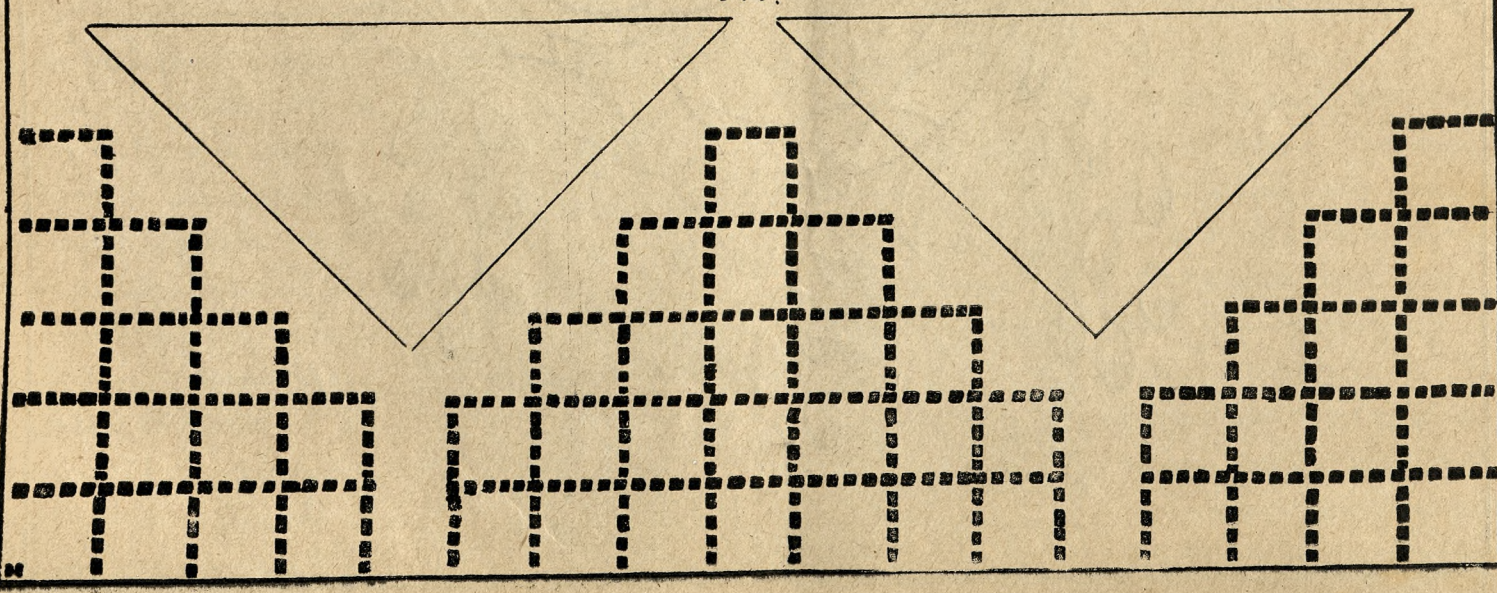
893.



894.



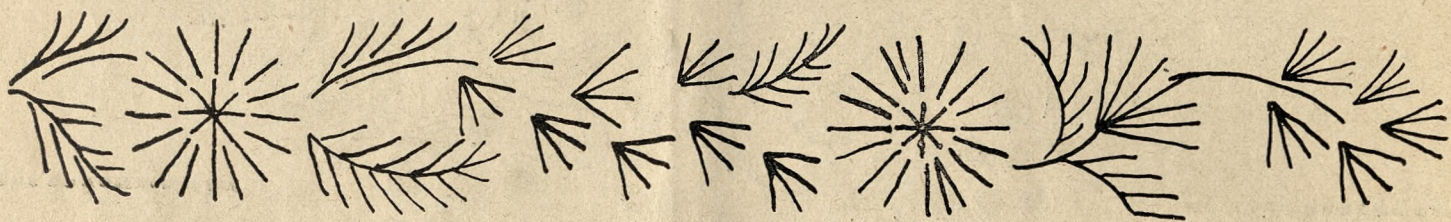
895.



896



897



898.

KAPELUSZ ZE SZNELKI

Kapelusik ten robi się szydełkiem o obwodzie 10-ciu mil., sznelki potrzeba popielatej jasnej 40 gr.

tylż ciemno popielatej i 25 gr. sznelki rubinowego koloru na motyw i na obrzeżenie. Grubość sznelki jest mniej więcej grubości wełny 8-mio nitkowej. Zacząć od denka kolorem jasno popielatym — 4 oczka powietrzne zamknąć w kółko jednym ścisłem oczkiem — jedno pow. oczko zostawiać luźne w każdym rzędzie, następnie robić: 1 rz. 8 śc. oczek — 2 rz., 16 śc. ocz. — 3 rz., 24 śc. ocz. — 4 rz., 30 śc. ocz. — 5 rz. 36 śc. ocz. — 6 rz. 42 śc. ocz. — 7 rz., 48 śc. ocz. — 8 rz., 54 śc. ocz. — 9 rz., 60 ocz. śc. — 10 rz., 66 ocz. śc. — 11 rz., 72 ocz. śc. — 12 rz., 78 ocz. śc. — 13 rz., 84 ocz. śc. — 14 rz., 90 ocz.

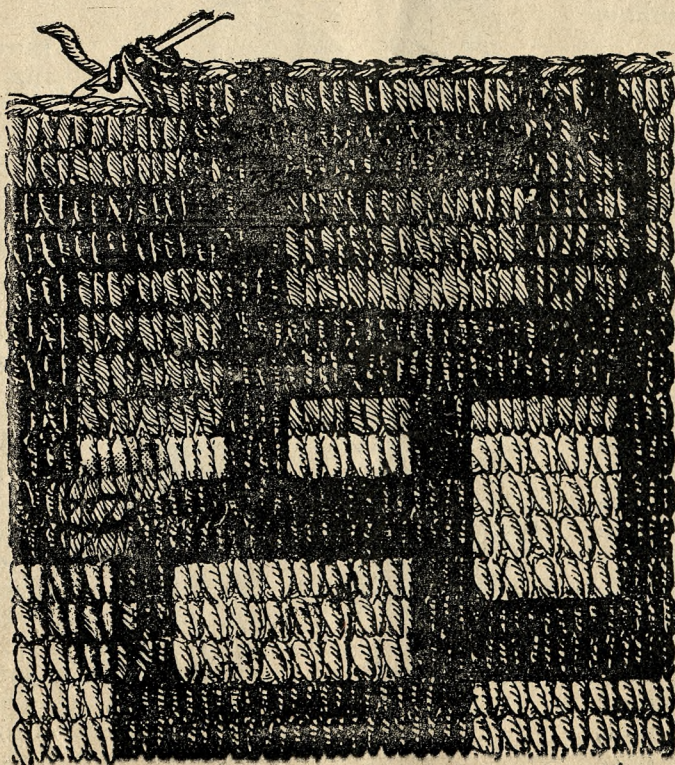
śc. i 15 rz., 96 ocz. ścisłych. Od 16-go rzędu zaczynamy robić z przodu motyw w kolorze rubinowym, nie przybierając w nim oczek pod żadnym pozorem. I tak 16 rz., 90 ocz. śc. popielatych, 12 ocz. rubinowych połączyć z popielatą sznelką — uciąć i zakończyć w każdym rzędzie — wciągając nitkę za pomocą igły kanwowej. 17 rz. 101 ocz. śc. popielatych, 12 rubin., — 3 popielate — 19 rz. 100 ocz. popielatych, 9 ocz. rubinowych, 8 ocz. popielatych, 2 ocz. rubinowe, 3 ocz. popielate 20 rz. 106 ocz. popielatych, 9 ocz. rubinowych, 8 ocz. popielatych, 2 ocz. rubinowe, 3 ocz. popielate. 21 rz.

110 ocz. popielatych, 2 rubinowe, 5 popielatych, 2 rubinowe, 8 popielatych 2 rubinowe, 3 popielate — od nast. rz.,

nie robi się już powiększeń.

22 rz. 150 ocz. popielatych, 2 ocz. rubinowe, 5 ocz. popielatych, 15 ocz. rubinowych. 23 rz., jak 22-gi — 24 rz. 110 ocz. popielatych, 2 ocz. rubinowe, 5 ocz. popielatych, 2 ocz. rubinowe. Od 25 rzędu trzeba używać sznelki popielatej ciemniejszej: 25 rz. jak 24. Rząd 26 i 27 — 110 ocz. c. popielatych, 15 ocz. rubinowych, 5 popielatych, 2 ocz. rubinowe — 28 rz. 113 ocz. popielatych, 2 ocz. rubinowe 8 popielatych, 2 ocz. rubinowe, 5 ocz. popielatych i 2 rubinowe, 29 i 30 rz., 113 ocz. popielatych, 12 rubinowych, 7 popielatych. Tu kończymy deseń i robimy ciemno popielatą sznelką jeszcze 9 rz. po

132 ocz. następnie zaczynamy przybierać, uważając, aby nie rozmieszczać ściągów przybranych, jednych nad drugimi. 42 rząd. — 134 ocz. ścisłe, 43 rz. 136 ocz. śc. 44 rz. 138 ocz. śc., 45 rz. 140 ocz. śc., 46 rz. 142 ocz. śc. 47 rz. 144 ocz. śc., 48 i 49 rz. tak samo. W 50 rzędzie robić, naprzemian, kolorem rubinowym i ciemno-popielatym tak, aby ostatnie oczko wypadło w kolorze, który następuje — robić naprzemian 7 ocz. popielatych, 5 oczek rubinowych. W 51 rzędzie robi się już tylko rubinową sznelką, którą skończywszy, uciąć i wciągnąć igłą kanwową koniec z pod spodu,





TO I O W O

Jesień przypomina nam się coraz dotkliwiej. Słońce grzeje jeszcze litościwie, ale wczesne i chłodne wieczory, wiatry i dni slotne każą myśleć o porzuceniu lekkich okryć i sukien — każą wczuć się w nakazy sezonu przejściowego, od którego jeden krok już tylko ku puszystym śniegom i mrozom zimy.

Zanim gawędzić będziemy rzeczowo o poszczególnych nakazach późnej jesieni i zimy, rzucmy okiem dokoła, aby przyswoić sobie ogólny zarys — linję, koloryt i te śliczne, a tak liczne drobiazgi, co stanowią o wyrafinowaniu niewieściego stroju.

Palma pierwszeństwa należy się bezsprzecznie perłom, których imitacje dochodzą do perfekcji. Sznurki wielkich okrągłych połyskliwych pereł, w rodzaj ciasnej obroży szyję ujmujące, należą już do przeszłości.

Nosimy dzisiaj i nosić będziemy jutro sznurek pereł dyskretnych, nawłoczonych na dosyć gruby jedwabny kordonek, jedna od drugiej węzełkiem oddzielone, co zbliża je efektem do szlachetnych siostrzyc z głębin morskich na światło dzienne ku chwale pięknej kobiety wydobywanych. Dyskretna, a piętno artyzmu na sobie nosząca zapinka — fermoir — nada im cechę kosztownego cacka. Perły tak nawleczone harmonizują ślicznie zarówno ze skromnym strojem domowym i spacerowym, jak i ze strojną suknią wizytową, toalety wieczorowe tolerują zarówno taki sznurek pereł, jak i podwójne, potrójne, lub pojedyncze długie sznury, dokoła szyi owinięte a spływające wzdłuż kosztownej tkaniny, z której suknię zrobiono.

Wszelkie śliczne, misterne grzebyczki, wpięte fantazyjnie w pukle ondulowane nie przeżyły się jeszcze, kształty mają wymyślne i kokieteryjne, zależnie od uczesania, służą do podtrzymania włosów, odsłaniających muszlę drobnego ucha, lub poprostu do przystrojenia główki.

Modne będą pendentify na długich jedwabnych sznurkach zawieszane, wykończone takimż chwastem, bogato strassami wysadzone, a utrzymane w tym samym stylu, co noszone w głębi worka pudełeczko z pudrem. Boa ze strusich piór dwukolorowe, lub subtelnie tonowane o długich, nieskończone długich rozfryzowanych końcach, futrzane worki przeróżnych kształtów, zależnie od skóry, z jakiej je wykonano, wniosą ożywienie swoją zaciekawiającą i pociągającą nowością, kwiaty z mousseline de soie, jednolitość pasków, woreczków i pantofelków, mała koronkowa woalka, oczy

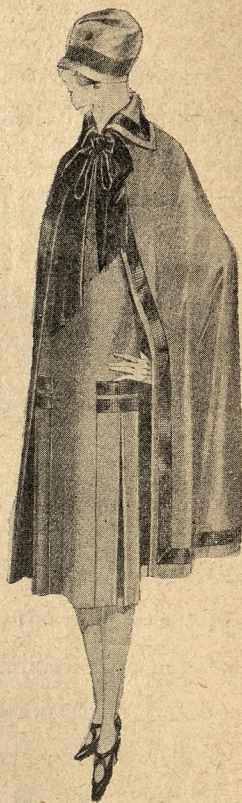
i czubek noska ciekawego cieniująca, cichy, a wnikliwy szum modnej tafty, smuga upojnych perfum, a w tej ramie stary, a zawsze nowy czar urody i wdzięku kobiecej sylwetki.

Na pewnych punktach kapryśna moda jest nieustępliwa, wymaga niezmiennie, stale, wymaga wytrwale kształtów nitych i zwiewnych, unika przeładowania, lubuje się w prostocie, z którą rozstać się dzisiaj, wracając do skrupowania i sztuczności ery ubiegłej, byłoby nam więcej niż trudno. To też spódniczki i suknie opływają nas miękko i swobodnie, ukryte fałdy nie krępują ruchów, są estetyczne i nad wyraz wygodne.

Do podróży i auta nosić będziemy, tak zwane „quatre pièces“, składające się z białej bluzeczki, fantazyjnej spódniczki, jednokolorowego smokinga i dużej, cieplej peleryny, lub też „trois pièces“, składające się np. ze spódniczki, układanej w głębokie fałdy, jumpra, utrzymanego w odmiennym, a żywym kolorze, przybranego barwą spódnicy i peleryny takiej, jak sukienka, podbitej ciepłą, miękką podszewką koloru jumpra. Kapelusik mały, filcowy lub pilśniowy, pantofelki z zamszu lub krokodylej skóry.

Moda kocha się wprost w ensemblach, to też wskazanem jest dobieranie okrycia do tonu, w jakim utrzymany jest ekwipaż i dostosowywanie pledów do całości, idzie nawet dalej, rzucając fantazyjnie na ciepłą, jednolitą tkaninę szala, co w podróży otula szyję, pas materiału, z jakiego pled zrobiono.

W dziedzinie stroju ślubnego zauważyć się daje coraz większy przepych. Dawna niezamącona i niepodlegająca dyskusji biel robi pewne koncesje na korzyść pereł i srebra, jakimi tak chętnie i obficie haftują suknie i djademy, z pod których spływają zwoje koronkowych lub tiulowych welonów. Spotyka się też wspaniałe toalety z lamy srebrnej, których efekt jest niezastąpiony, w świetle lamp elektrycznych suknia taka lśni i mieni się wprost feerycznie. Welon, otulający sylwetkę panny młodej, jest niezaprzeczenie największym urokiem stroju ślubnego, to też dobierany i dostosowywany do całości bywa z prawdziwym pietyzmem, a podtrzymujące go upięcie odznaczać się zwykło bogactwem pomysłów i kombinacji. Prześlicznie wyglądają w orszaku weselnym druchny ubrane jednakowo. Na jednym ze świetniejszych ślubów sezonu ubiegłego, w Paryżu, panna młoda, strojona w srebrną lamę, otoczona była gronem młodocianych druchen,



spowitych w białą lamę, przybieraną blado różową krepą, główki otulone w czapeczki z białej siatki, szytej perłami, upadabniały je do słicznych paziów.

Odrywając wzrok od najcudniejszej zawsze bieli, wejrzeć nam wypada w krąg barw, które nosić będziemy. Otóż nadmienić muszę, że tak długo uprzywilejowany kolor bois de rose powraca w stan spoczynku. Wijsię jeszcze przez świat kobiecej sukienki, ale na zegarach mody wydzwoni niebawem jego ostatnia godzina. Nosić będziemy chętniej ciemny granat, czarny, taupe, zielony, corinthe, ametystowy, kolor ciemnego i jasnego szylkretu, wreszcie gorący w barwie ciemny szkarłat, owoc granatu przypominający.

Z tkanin — trykoty zastąpią po części aksamity bawełniane, aksamit jedwabny przodować będzie nadal, jak również i cudowne jedwabne muśliny znaczone bogactwem aksamitnych deseni. Ci co projektują i lansują nowości rzucili już przed zachwyczone nasze oczy tkaninę taką inkrustowaną masą różnorodnych kwiatów, z lekka podkreślonych złotą nitką, lub uświetnione mieszaniną złota, srebra i gorącej w tonie, świetnej, miedzianej barwy.

Zgodnie ze zbliżającą się zimą futra zdobyły sobie palmę pierwszeństwa, są one koniecznym i nieodzownym dodatkiem do kostjumów i palt demi — saison, przystrajają niemi zawsze obficie i misternie żakiety i płaszcze.

Pierwszą troską kobiety eleganckiej, która zwykła wybiegać myślą naprzeciw zbliżającemu się sezonowi jest okrycie. Okrycie symbolizuje zbliżającą się zimę, zmieniamy je przymtem dużo rzadziej niż suknie i stąd wynika konieczność wybrania i obmyślenia go z większą premedytacją. Kilka cech charakterystycznych uważać już możemy za nieodwołalne: w pierwszym rzędzie przepych garniturów futrzanych, rozmieszczonych z prostotą, lub wyrafinowaniem. Dół płaszcza będzie spowijał ściśle kształty, wyłóg jednostronny, długi, sięgający linii bioder, góra swobodna i szeroka



o bardzo luźnych, łatwych do wkładania rękawach musi przypominać rysunkiem pelerynę, tak wybitnie modną. Aksamit w dziedzinie okryć będzie nadal faworyzowany, — kolor czarny i ciemny granat są skłonne do ustępstw jedynie na korzyść licznych odcieni brązu i tak zwanego feuille morte.

Sezon przejściowy lubować się będzie w sukniach łączonych z dwóch odmiennych materiałów i tak np. suknia z zielonego crêpe de chine'u, okładana wysoko od dołu o ton ciemniejszym aksamitem, małe białe wyłóg, rękawy z crêpe de chine'u inkrustowane aksamitem. Druga słiczna i szczęśliwa kombinacja to sukienka z jedwabnego muślinu koloru taupe dyskretnie przybierana aksamitem tej samej barwy — całość elegancka i lekka..

Paillety wracają też do mody zarówno tam, gdzie chodzi o suknie wieczorowe, jak i wizytowe. Widziałam niedawno słiczny model z crêpe de chine'u koloru maron, ujęty w biodrach w pas drobnymi zakładeczkami i wyszywany dyskretnie pailletowymi deseni. Linja sukien krzyżujących się z przodu cieszy oko nowością po graniczącej z przesytem prostej formie jumpa — skromną, a elegancką sukienką będzie zrobiona tak szatka z crêpe de chine'u bleu nattier, obramowana dyskretnym wyszyciem czarną i srebrną nitką.

Trzeba zaznaczyć, że tafta zalicza się w tym sezonie do najmodniejszych. W kolorze ciemnym i spokojnym używana będzie na sukienki wizytowe, w świetnych jasnych barwach przewinie się przez salony w godzinach rautów i bali. Tafta zdaje się być stworzoną i dostosowaną do modeli zdobnych falbankami, to też wieczorowa suknia koloru blado różowego strojona licznymi drobnymi falbankami ramowanymi srebrną wstążką, jaką zauważyłam w ostatniej dobie na słicznej smukłej blondynce, przypominała cudny kwiat w pełni rozwoju i kraszy. W. D.

W OPLOCIE KASZMIROWEGO SZALA

Był celem marzeń, przedmiotem zachwytów, i nierzadko źródłem zawiści. Emocjonował trzy pokolenia elegantek, fascynującym szelestem wciskając się wszędzie za stylową panią dyrektorjat i epoki bieder-majerowskiej, na salony, do teatru, do kościoła — despotyczny i władny szal indyjski. Z mięciuchnej wełny kóz tybetańskich był utkany ten cud Wschodu i finezja wzorów przesłicznych jaśniał przedziwnie kuszący Kaszmiru kwiat. Patrzało pożądlwie nań oko, zaczęło po barwistych drożynkach arabesek i floresów tkaniny, po egzotycznej krainie ornamentu szalowego wędrowała niespokojna tęsknota elegantki. A gdy dłoń biała pieściwym dotykaniem na tkaninie spoczęła, dziwną lekkością zalecała się ona gustom strojnisi, miękka i taka cieniuchna, jak zwiewne przedziwo z warstwowości pajęczych. Toż przeciągniesz ją łatwo przez drobny pierścioneczek, zdjęty z palca gładyszki, przeciągniesz całkiem bez trudu. Co więcej, wymyślna ploteczka czasów dawnych opowiada, że jednej z elegantek doby napoleońskiej przywieziono to dziwo dalekiego Orjentu pono w łupinie orzecha włoskiego...

A przecie liczył sobie ten stroik powabny nie mniej, jak, coś około sześciu metrów długości. Rzecz jasna, że skorupkę orzecha włoskiego między bajki włoży, my i zgodzimy się na łupinę jakiegoś niedużego kokosu, niemniej jednak żarcik napoleońskich czasów, choć prerafinowany, cząstkę prawdy powiedział,

Miała szal indyjski wprowadzić w modę w Paryżu wykwiłtna pełna gracji pani Récamier w epoce dyrektorjat. W Anglii pojawił się około 1786 r. jako longshawl, a tak wszedł w użycie powszechne, że dla sfer uboższych imitowany był w drukowanej bawełnie.

Oryginalny z Kaszmiru wysokich cen dosięgał, tem zaostrzał jeszcze bardziej smak koneserki. Walory egzotycznej tkaniny wzrastały z wysoką ceną, niepokojąc kuszącą ponętą owocu, którego zerwać niełatwo. Na niewiele przydały się rygory napoleońskie i kary wysokie za sprowadzanie i sprzedaż artykułów kolonij angielskich. Zwycięzca na tyłu polach bitewnych, bezsilnym był w kampanji szalowej z niewiastami, co więcej, patrzeć musiał z hamowanym gniewem

na to, jak własna jego żona Józefina była właścicielką bezcennej kolekcji kilkuset szalów indyjskich.

Gdyby w pięknej i wytwornie odzianej kobiecie ktoś doszukać się pragnął reminiscencji wszechkunsztu i w liniach torsu dopatrzeć się doskonałej rzeźby, zaś w karnacji twarzy i w blaskach oczu kolorytu minjaturowych portretów, to szal o deseniach barwistych oplatający wdzięcznie ramiona i kibić przyrównałby można do poematu. Niezawsze jednak, bo i w tej regule bywały wyjątki. Niedosć posiadać piękny szal, niedosć wyłożyć zań wysokie sumy. Szal trzeba nosić umiejętnie, scalić go w jedno, we wdzięk i dystynkcję z całym *cxtérieur*, szarmonizować z linią wykrintnego gestu. W płaszcz można się odziewać, w szal jednak trzeba się... drapować. Nie da się go wciągnąć na siebie tak, jak się zaciągało na rękawy salopkę, nie przystoi niedbale na ramionach go zawiesić, jak na wieszadle. Masz, gładyżko, aż sześć metrów kaszmiru. Łamże sobie główkę jak to dokoła swej postaci jak najsmakowniej okręcić, jak tem biust spowić i stworzyć wymyślną, pełną dekoracyjnego powabu i smaku draperję. Skomponuj poemat miękkiej falistej linii, co skręty przedziwnemi tors twój opłynie, a usłyszysz dokoła nie tylko szmer podziwu „co za cudny szal“, ale i słowa uznania: „ona szal nosić umie, ślicznie weń udrapowana“. Miętka tkanina z wełny tybetańskich kozic, martwa na półkach w sklepie bławatnika, ożyje na tych ramionach, szarmonizowana z żywą rzeźbą postaci, z rytmem wykrintnych ruchów, pełnych umiaru i dystynkcji. Powiewy wiatru wyokrągłą niekiedy kunsztowne sploty draperji szalowej, a czasem porwą jej końce, wzniosą ku górze, a wtedy

u ramion ziemianki załopoce dwoje skrzydeł polotnych, jak na starym obrazie Maurina, przedstawiającym „skok przez strumyk“.

Trzy pokolenia kobiet emocjonował wzorzysty szal, obok arfy później gitary, obok dyliżansu i sztabucha jeden z nieodzownych stylowych szczegółów epoki. Tak władnie w sferze zainteresowań kobiecych zapanował, takie tegoż zainteresowania maximum i punkt kulminacyjny przez pewien czas stanowił, że pani wracająca z podróży i zapytana, co ciekawego w danej miejscowości widziała, niejednokrotnie w odpowiedzi niosła ważne słowa: Nie zauważyłam ani jednego pięknego szala.

Znaczne zapotrzebowanie wziętego artykułu mody spowodowało wzmożoną produkcję, a wysokie nie dla wszystkich dościgłe ceny szalów oryginalnych, wywołały imitacje, od roku 1805 w manufakturach francuskich, później we Wiedniu, Berlinie, Edynburgu i naszym Niemirowie Potockich.

W latach dwudziestych XIX stulecia wszedł w modę kwadratowy szal turecki z bukietami kwiatów na narożach, spinany pod szyją agrafką, w dziesięć lat później szal z *crêpe de chine*.

Sprawiedliwy drogocenny szal indyjski stał się w rękę pani Teodorowej Potockiej, damy Krzyża gwiazdzystego wykładnikiem patriotycznego gestu w pamiętnym roku 1809. Szalem zdjętym z ramion, z dniem entuzjazmu i radości, obwiała dama Krzyża gwiazdzystego we Lwowie nogę rannego konia pod porucznikiem Starzyńskim, gdy porucznik z kilku-nastu grenadierami zajmował Lwów w dniu 27 maja.

M. O.

POLSKA WSPÓŁCZESNA

XIV.

STOSUNKI SPOŁECZNO-KULTURALNE W POLSCE.

(dane dotyczące bibliografji, zaczerpnięte z materiałów referatu ewiden. bibliograficznego Min. Spr. Wewnętrznych).

Na rozwój kultury społecznej w kraju ma wpływ, oprócz szkolnictwa, rozwój wydawnictw, prasa, stowarzyszenia kulturalne i oświatowe, muzea, biblioteki i wystawy, a także teatry i kinematografy.

Ruch wydawniczy w Polsce rozwija się w warunkach dosyć trudnych. Szerokie masy społeczeństwa nie czytają, a książka i dziennik są dla nich artykułem zbytku. Te warstwy, które przed wojną stanowiły główny zastęp konsumentów książki polskiej, inteligencja pracująca i urzędnicy, zubożały i nie są w stanie popierać produkcji wydawniczej. Warstwy zamożne zdradzają obojętność względem książki polskiej, nieświadczą dodatnio o ich kulturze umysłowej. Z drugiej strony wydawcy nadmiernie kalkulują ceny książek, co sprawia, iż kupno książki staje się możliwe tylko dla człowieka bardzo zamożnego. W rezultacie Polska, licząc 30 milionów mieszkańców, nie może sobie pozwolić nawet na taką produkcję wydawniczą, jak mała Szwecja, lub Holandia. W roku 1925 wydano w Polsce ogółem 5.969 książek i broszur w ogólnej sumie nakładu 22.929.472 tomów. Daje to średnio 3.800 tomów nakładu na jedną książkę, liczba nieporównywalnie niska w stosunku do nakładu książek niemieckich, francuskich i angielskich. Z pośród tych książek i broszur 5060 ukazało się w języku polskim, 519 w języku żydowskim (i hebrajskim), a 181 w ję-

zyku ukraińskim. W języku niemieckim ukazało się tylko 57 książek, w rosyjskim 29, w litewskim 16, a w białoruskim tylko 15 książek i broszur. Największy nakład wykazywały książki wydane w języku polskim (4150 egz. nakładu średniego) i w języku niemieckim (3400 egz.).

W roku 1926 r. stan ten zdaje się jeszcze pogarszać, przynajmniej w I-ym kwartale, kiedy średni nakład książki polskiej spadł do 3.288. Być może, iż stoimy u kryzysu sytuacji wydawniczej, że w ślad za ogólnym kryzysem przemysłu, nastąpi także ożywienie na rynku księgarskim.

Z pośród książek drukowanych po polsku w r. 1925, najwięcej wydano dzieł beletrystycznych i prawniczych, a największy nakład osiągnęła beletrystyka i podręczniki szkolne. Ten sam stosunek zachodzi w roku 1926.

Prasa, w przeciwieństwie do druków nieperjodycznych, rozwija się w Polsce intensywnie. Powiększa się z roku na rok nie tylko ilość czasopism, ale także ogólna cyfra nakładu. W roku 1925 wychodziło w Rzeczypospolitej po polsku dzienników 170, tygodników 319, dwutygodników 119, miesięczników 366 i innych 417; po żydowsku (i po hebrajsku) ukazywało się dzienników 29, tygodników 46, dwutygodników 2, miesięczników 14, nieregularnie 45; po niemiecku

dzienników 28, tygodników 17 i innych 31; po ukraińsku (po rusku) dzienników 3, tygodników 11 i innych 52; po białorusku dzienników 4, tygodników 3 i innych 8 i wreszcie w innych językach dzienników 6, tygodników 3 i innych 17.

Ogółem w r. 1925 ukazywało się w Polsce 1709 czasopism, gdy w roku 1923 — zaledwie 986. Najwięcej rozwiniętą była prasa na obszarze m. st. Warszawy i na obszarze województw: Poznańskiego, Lwowskiego, Krakowskiego i Łódzkiego. Najuboższą jest na obszarze Województwa Tarnopolskiego, gdzie wychodzą zaledwie 3 czasopisma.

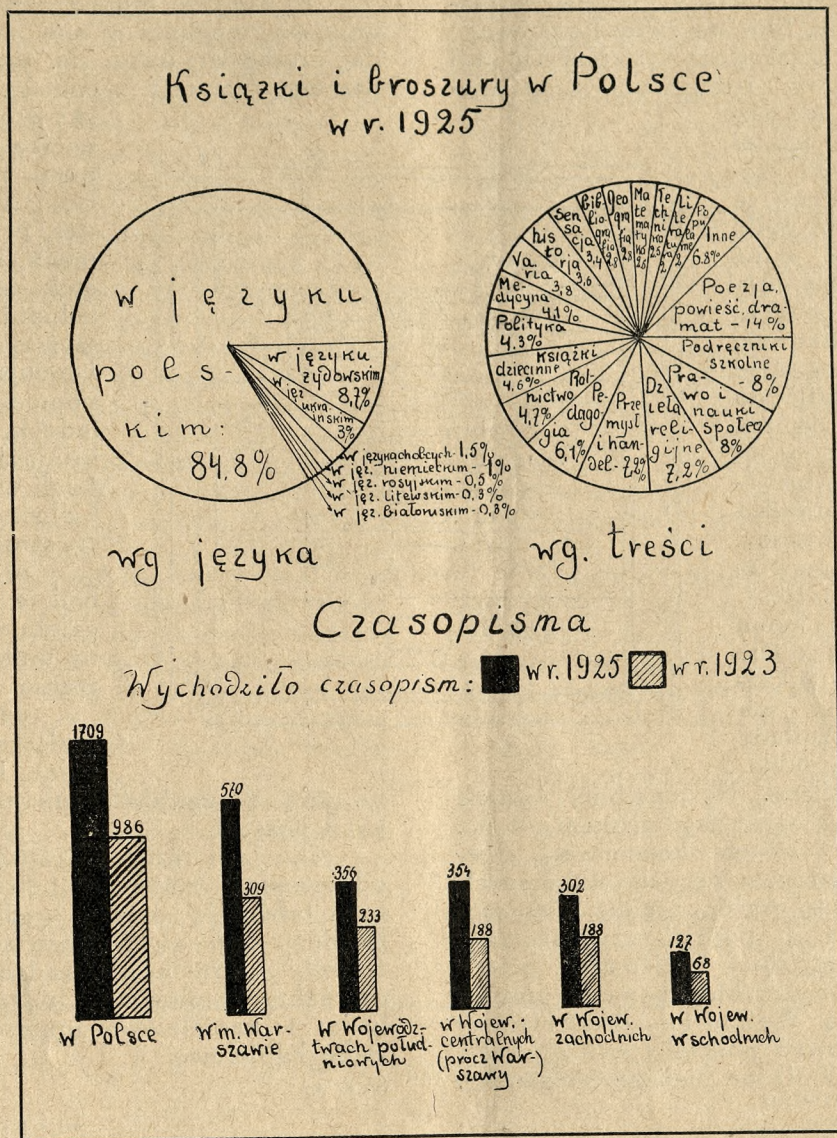
Ruch stowarzyszeniowo - kulturalny i korporacyjny najintensywniejszy jest na obszarze b. zaboru pruskiego i na terenie b. królestwa kongresowego. Niestety, brak dokładnej statystyki rządowej nie pozwala przedstawić cyfrowo ilości stowarzyszeń kulturalnych i naukowych.

Ilość muzeów, bibliotek i stałych wystaw z dziedziny nauk i sztuki jest w Polsce dość znaczna — nie dorównywa jednak, ani bogactwem, ani liczebnością, podobnym zakładowi w Europie zachodniej. I w tej dziedzinie znajdujemy się, niestety, u progu odbudowy po stuletniej dewastacji z okresu niewoli. Ilość teatrów w Polsce jest także nieznaczna. Teatrów

grających w języku polskim jest 36, wliczając w to już artystyczne sceny lekkie. W języku żydowskim grywa 5 stałych teatrów i 7 wędrownych. W innych językach zaledwie 3 teatry niestałe. Najwięcej teatrów jest w Warszawie, bo — polskich 12 i żydowskich 2.

Mimo tej szczupłej liczby teatrów, sztuka teatralna przechodzi kryzys, podobny do kryzysu, jakiego doznaje książka. Poza wyłączenie miejscowymi przyczynami tego kryzysu, z których najważniejszą jest sytuacja gospodarcza, odgrywa tu rolę, spostrzegane w całym świecie, wypieranie teatrów przez kina. Ilość kin w Polsce dosięga 500. Najwięcej kin jest na Śląsku (50), w Warszawie (44) i w Wojew. Łódzkim (46). Najmniej kin posiada Województwo Poleskie, bo tylko 5. Kina polskie wystawiają przeważnie filmy zagraniczne (najwięcej amerykańskich), gdyż polska produkcja filmowa znajduje się dopiero w okresie wzrostu. Wreszcie, znaczenia dla wzrostu kultury i oświaty zaczyna nabierać tak popularna, zwłaszcza w Ameryce radjofonia, której powstanie w Polsce obecnie obserwujemy; jak na krótki czas jej istnienia, rozwój jest dosyć duży, gdyż obecnie radiostacja war-

zawska obsługuje już około 70.000 zarejestrowanych słuchaczy, a ilość słuchaczy powiększa się z dnia na dzień.



REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

Kiedyindziej konstrukcja mebla przedstawia daleko większe trudności. Omówimy dla przykładu niezwykle oryginalny sposób, w jaki „Mon chez moi”, cytowane już parokrotnie pismo francuskie, rozwiązuje jedno z najbardziej skomplikowanych zagadnień: uporządkowanie bielizny¹⁾.

Więc przedewszystkiem klasyfikacja: z punktu widzenia wykonywanej pracy, podzielimy bieliznę na czystą, brudną, nieprasowaną i niewyreperowaną. Z punktu widzenia kolejności prania odróżnimy bieliznę białą i kolorową, z punktu widzenia użycia: stołową, osobistą, pościelową, kuchenną i toaletową. Wreszcie według materiałów dzielimy ją na jedwabną, wełnianą

i bawełnianą, luksusową, zwykłą i zniszczoną. Zależnie od sytuacji wybierzemy rubryki i podrubryki. Tak np. właściciel restauracji podzieli bieliznę na osobistą z jednej, a kuchenną i stołową z drugiej strony; młoda dziewczyna uporządkuje swą bieliznę osobistą według tkanin i gatunków; matka licznej rodziny według osób, inna znów gospodyni według przeznaczenia.

Następnie zastanowimy się, czy mieszkanie nasze jest dosyć obszerne, by móc przeznaczyć jeden pokój na przechowywanie bielizny i wszystkie prace

¹⁾ Mon chez moi, 1 stycznia 1924 r.

z nią związane (pranie, prasowanie, cerowanie, szycie...). Jeśli tak, zastosujemy system koncentracji, w przeciwnym razie umieścimy każdą kategorię w miejscu jej użycia, nie zaś, jak to się często praktykuje, w sypialni.

Zasadnicza reforma, proponowana przez p. Bernège, polega na zastąpieniu układu pionowego bielizny przez układ poziomy. Słusznie zwraca ona uwagę na liczne usterki dotychczasowego systemu. 1). Jeśli układamy według kategorii, strata miejsca jest nieunikniona, nikt bowiem nie posiada jednakowej ilości i jednakowych rozmiarów różnych części garderoby i nieuniknione są puste przestrzenie w głębi półki i u góry. 2). Wyjmując jedną sztukę bielizny, rozrucamy prawie zawsze cały górny pokład i musimy na nowo porządkować. 3). Nikt, prócz nas (a i my same nie zawsze) nie umie trafić do poszukiwanej sztuki, wskutek czego wzbraniamy nawet mężowi i dzieciom dostępu do bielizniarki. P. Bernège wprowadza z tych względów układ poziomy, osiągany zapomocą szeregu płaskich szufladek, t. zw. „tirettes”. Każda szuflada zawiera jedną tylko kategorię bielizny; o ile możliwości każda sztuka, a w każdym bądź razie niewielka ich ilość, leży oddzielnie; szuflady mają rozmaitą wysokość, odpowiednio do gatunku bielizny. Na przedniej ścianie umieszcza się etykiety z wyszczególnieniem wnętrz.

I. Jeśli przyjmujemy system koncentracji bielizny w jednym pokoju, nasuwa się, jako najracjonalniejszy, podział na bieliznę czystą, brudną, nieprasowaną i niereperowaną, t. j. podział czynnościowy.

a) Do bielizny czystej służy bielizniarka, przedstawiona na powyższym rysunku, która pomieści pościel, ręczniki, bieliznę osobistą. Weźmy np. dział bielizny kobiecej. Można zastosować podział (posługując się różnokolorowymi etykietami) na bieliznę elegancką,

zwyczajną i zniszczoną. Bielizna elegancka dzieli się na garnitury jedwabne i batystowe (dwie szufladki); bielizna zwykła zajmuje kilka szufladek, segregujemy ją według części bielizny, oddzielnie koszule nocne, dzienne i t. p. Płaska szufladka mieści chusteczki do nosa.

b) Bieliznę brudną najlepiej od razu sortować, by uniknąć nurzania w niej rąk przed praniem. Każdą sztukę wrzuconą do szuflady powinno się nadto, naszym zdaniem, z miejsca notować zapomocą kreski w odpowiedniej rubryce karnecika lub bloku, a przed praniem tylko kreski te sumować. Rozrzucanie bielizny po podłodze, praktykowane w wielu domach, i wyławianie z niej chustek do nosa, koszul i t. p. zabiera wiele czasu, jest w najwyższym stopniu nieestetyczne i niehigieniczne. P. Bernège proponuje rodzaj komody o 6 szufladach, lub też 6 worków do brudnej bielizny stołowej, pościeli, owej eleganckiej i zwykłej, bielizny osobistej, wyrobów pończosznich i ścierek.

c) Bieliznę, którą trzeba będzie prasować, najlepiej oddzielnie prać, suszyć i prasować, by uniknąć zbytecznego powtarzania tych samych czynności.

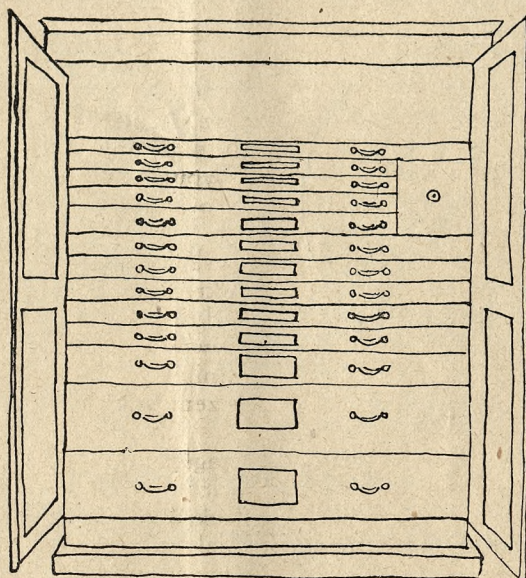
d) Bieliznę do cerowania umieszcza się w dolnej szufladzie bielizniarki, podzielonej

na parę przegródek, lub w odpowiednio podzielonych koszach.

II. Jeśli wolimy system koncentracji, musimy odpowiednio zmienić wnętrze naszych mebli; uczyni to z łatwością stolarz, według naszych wskazówek. Kredens kuchenny winien zawierać parę szufladek do ścierek i fartuchów; kredens w jadalnym pokoju — do nakryć stołowych, a szafa w sypialni — do bielizny; w kąpielowym umieścimy ręczniki i prześcieradła kąpielowe.

(c. d. n.)

F. Sachsówna.



METALOPLASTYKA

UWAGI OGÓLNE

Metaloplastyką nazywamy artystyczne wykładanie blach, przeznaczonych do ornamentacji różnych przedmiotów.

Metaloplastykę stosować można do ozdabiania wszelkich wyrobów z drzewa, do mebli, do pudełek, do teczek, do opraw książek, do ozdabiania gładkich przedmiotów ze szkła, np. puderniczek, wazonów, zaś ze srebrnej blachy — do ozdób, w zakres biżuterii wchodzących.

Do metaloplastyki używa się blachę cynkową, mosiężną, miedzianą i srebrną, sprzedawane w arkuszach. Wybierać trzeba możliwie cienkie, żeby łatwo poddawały się wytłaczaniu, inaczej ręka się męczy i trudno wtedy czystość linii zachować, co w metaloplastyce jest koniecznym.

Narzędzi potrzeba niewiele, można potem w miarę

potrzeby narzędzia kompletować, na początek wystarczy kilka; jedno, dosyć ostro zakończone i lekko zakrzywione (traçoir) Nr. 1 rysunku, następnie płaska, zakrzywiona łopatką (spatule) w dwóch wymiarach, jedna cienka Nr. 2 rysunku, druga większa, bardziej płaska Nr. 3 rysunku, następnie narzędzie zakończone okrągłą kulą (repoussoir) Nr. 4 rysunku, nożyk ostro zakończony Nr. 5 rysunku, nożyczki zakrzywione, jak używamy do paznogi, cienkie szydło do przekłuwania dziurek, narzędzie do wytłaczania tła w drobne kropki Nr. 6 rysunku, mały młotek, drobne gwoźdźki 2 do 3 milimetrów najwyższej wysokości, tektura, kawał szkła (szyby) albo marmuru i kawałek sukna na tyle duży, żeby go można było w miarę potrzeby w kilkoro składać.

Polskich nazw narzędzi do metaloplastyki nie posiadamy i dlatego posilujemy się nazwami francuskimi.

WYTŁACZANIE

Zabierając się do pracy, należy przedewszystkiem wziąć wymiary z przedmiotu, do którego ma być zastosowany metal i odpowiednio do wielkości i kształtu narysować wzór na mocnej kalce.

Rysunek powinien być wyraźny, bez zbytnich szczegółów i drobiazgów, które są trudne do wykonania w twardym materiale, którym jest blacha, i wymagają bardzo dużej wprawy. Gdy już rysunek przygotowany, odkrajać kawałek blachy, wziąć tekturę, na niej położyć arkusz lub dwa papieru, na to położyć blachę, a na niej kalkę z rysunkiem, którą najlepiej przytrzymać ciężkim przyciskiem, żeby się nie usunęła w czasie kalkowania; przypinać pluskiewkami nie radzę, gdyż kalka przy nich często się przedziera podczas kalkowania, a wtedy skrzywia się rysunek. Tracąc więc należy bardzo dokładnie przerysować wszystkie linie, naciskając trochę narzędzie, zależnem to jednak jest od blachy: na twardej, szczególnie na mosiężnej i miedzianej należy mocno narzędzie przyciskać, czasem i cynkowa blacha trafia się twarda. Gdy sprawdzimy, że cały rysunek dokładnie przekalkowany, wtedy kalkę wyjąć i tym samym narzędziem mocno i pewnie przejść po tych samych liniach ruchem z początku lekkim, potem silniejszym, a pod koniec linii puszczając zupełnie swobodnie narzędzie, żeby linia była płynna, a nie kończyła się tępym dotknięciem—ta sama uwaga dotyczy, jeśli się ma do czynienia z dłuższymi liniami, których nie można jednym pociągnięciem narysować, należy wtedy w miejscu, gdzie chcemy się zatrzymać, narzędzie lekko puścić, a potem znowu lekko w tę samą linię trafić i dalej rysować, blachę pozatem można obracać dowolnie.

Gdy cały rysunek wyraźnie wkleśła linią narysowany, kładziemy na tekturę pojedyncze sukno, na to blachę lewą stroną ku górze, na której deseni rysuje się wypukłą linią i obok tej linii tem samym narzędziem od wewnątrz rysujemy drugą linię, która po prawej stronie odznaczy się wypukło; należy ją przeprowadzić tylko tam, gdzie nie będzie wypukłości bezpośrednio przy tle, tak np. wszystkie łodygi i okrągłe motywy nie powinny być obwodzone.

Skończywszy obwodenie po lewej stronie, odwrócić znowu blachę na prawą stronę i na samej tekturze, bez podkładania, przejść wszystkie pierwsze linie rysunku, żeby wgłębić tło, które się poprzednią robotą trochę uwypukliło.

Gdy to skończymy, należy jeszcze mocno i wyraźnie przejść wszystkie żyłki i linie w liściach, kwiatach, lub ornamentach po prawej stronie, potem wziąć sukno, złożyć we dwoje, lub czworo, zależnie od wypukłości, którą chcemy osiągnąć, bo, im wypukłość ma być większa, tem grubszy musi być podkład, żeby blacha miała miejsce do ugięcia się pod naciskiem narzędzia, wtedy spatulę a miejsca, które chcemy uwypuklić, mocno nacisnąć silnem, krótkim dotknięciem, ruchem z początku łagodnym, potem bardzo mocnymi znowu lekkim, aż do stracenia, uważając,

żeby nie naruszyć linii brzegów, żyłek i linii po prawej stronie rysowanych.

Jeżeli mamy do wykonania duże motywy, które mają być bardzo silnie wytłoczone, trzeba wtedy po prawej stronie silnie narysować wszystkie szczegóły, jeżeli to kwiat, to pojedyncze listki, bo więcej do nich dotknąć się nie będzie można, potem, na złożonym suknie silnie wytłoczyć poszczególne płaszczyzny, lub listki, uważając bardzo, żeby żadnej linii nie dotknąć.

Gdy już motyw wytłoczony, wtedy sukno składowy wiele razy i szeroką spatulę a lekko wytłaczamy całość motywu, przechodząc wtedy i po liniach, które są bardzo mocno uwydatnione, ale tak, żeby ich nie zatracić, a tylko, żeby całość motywu uwypuklić i zaraz przejść kontur po prawej stronie na tekturze. Pamiętać należy, że wytłaczanie zaczynamy od najmniej wypukłych, a kończymy na najbardziej wypukłych i okrągłych motywach.

Motywy okrągłe wytłacza się repoussoir'em, albo, jeśli są większe, końcem okrągłym narzędzia, ruchem okrężnym, powoli, żeby równo wytłoczyć, zaczynając od środka. Po całkowitem wytłoczeniu wszystkich motywów, w głównych zagłębieniach dać parę ostrych linijek w kierunku wytłoczenia, ale tylko na pojedynczym suknie.

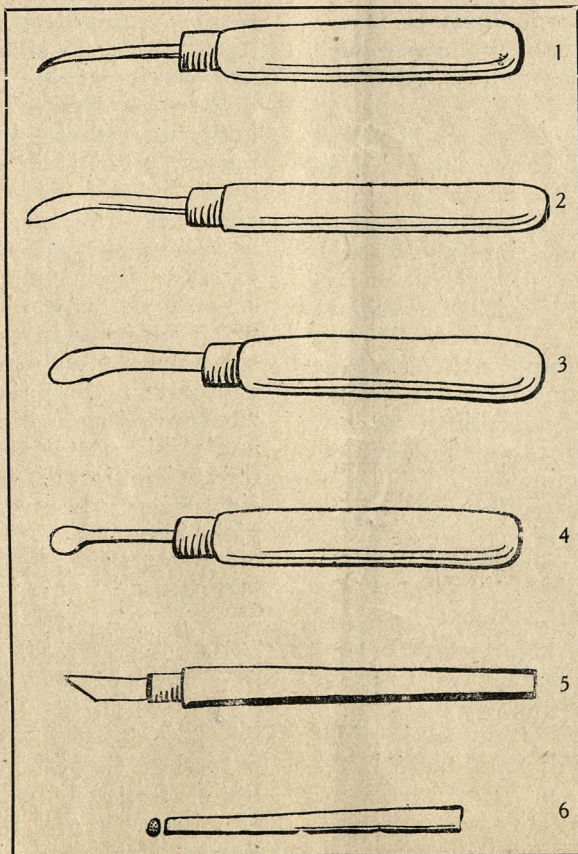
Następnie przejść jeszcze raz po lewej stronie zagłębione liście, żeby nie zatraciły swej siły, odwrócić blachę na prawą stronę i raz jeszcze na samej tekturze pierwotną linię dokładnie obrysować, żeby całość rysunku wyszła czysto i dokładnie i tło, podniesione nieco pracą od wewnątrz, wróciło do normalnego stanu.

Prawidłowe koła w deseniu można cyrklem na blasze oznaczyć, a linie proste, tak od zewnętrznej jak i wewnętrznej strony, można rysować, posilkując się linią.

Gdy już całe wytłoczenie skończone, położyć blachę na szkło, wziąć narzędzia kropkowane do wylizania tła i uderzając w nie lekko młotkiem, posuwać po blasze raz koło razu, uważając, żeby deseniowi nie naruszyć.

Można też tło kropkować końcem pointe'y gęsto, lub rzadziej, albo założyć tło równymi linijkami, poziomymi, lub pionowymi, stosownie do deseni, lub innym jakim odręcznym deseniem tło wypełnić. Skończywszy wypełnianie tła, zabieramy się do wylizania wkleśłości po lewej stronie blachy — w tym celu należy rozpuścić zwyczajnego wosku i płynem tym zapełniać łyżką wkleśłości. Nie należy nabierać dużo wosku na łyżkę, żeby uniknąć rozlewania po całej powierzchni, a gdyby to nastąpiło, trzeba nożem zbyteczny wosk zdjąć, zanim zupełnie stwardnieje. Deseń powinien być wypełniony równo z tłem. O ile kto posiada fajeczkę od batików, to można się nią posilkować, gdy chodzi o wylizanie bardzo cienkich łodyg, lub ornamentów. Należy baczną zwracać uwagę, żeby się wosk nie przedostał na prawą stronę blachy, gdyż w tem miejscu oksydowanie bynie chwyciło.

(c. d. n.) E. Onichimowska.



NAPOJE I POTRAWY, PODAWANE PRZY WYKWINTNYCH UCZTACH WESELNYCH

Pani S. Z. z Lubelskiego.

Jedna „z czytelniczek” „Bluszczu” zapytuje, jak urządzić wykwiintne, bez względu na koszty przyjęcie weselne. Skoro mowa o wykwiintcie, pomijam naturalnie względy oszczędnościowe, których nie tylko zawsze jestem wielką zwolenniczką, ale uważam je za obowiązkowe, a sądząc, że niejednej z pań wiadomości te przydadzą się, odpisuję na łamach „Bluszczu”. Przedewszystkiem chcąc, aby przyjęcie wypadło świetnie i elegancko, trzeba zacząć od strony dekoracyjnej gdyż najlepiej obmyślane „menu”, najsmaczniej przyrządzone potrawy podane na źle nakrytym stole gorsze zrobią wrażenie, jak mniej wyszukane, a wykwiintnie i estetycznie przyrządzone,

Niejednej z pań zdaje się że nakrycie stołu jest rzeczą bardzo prostą, że każdy będzie umiał to zrobić, tymczasem wcale tak nie jest, bo i w tem, jak we wszystkim, moda wprowadza coraz to nowe zmiany i wymaga coraz większej kultury i subtelności. Rozliczne są sposoby nakrycia stołu, że jednak mamy do czynienia z polską rodzinną uroczystością, nakryjemy go „po naszemu”. Weźmiemy stół nie wązki, którego szerokość powinna wynosić co najmniej 120 cm. nakrycia ustawimy co 65 do 75 cm., bo przy stole nigdy ciasno być nie powinno, dla uniknięcia hałasu podścielamy pod cienki lniany obrus miękki wołok, ściśle dopasowany do długości i szerokości stołu. Obrus, gładko rozciągnięty bez załamek ani fałdek, powinien zwieszać się conajmniej na ćwierć metra wokoło, w samym środku stołu ustawimy żardinierkę z zielonych paprotek o drobnutkich listkach, które stanowić będą tło dla wonnych tuberoz, kwiatu pomarańczowego, gałązek lub drzewka mirtu w kwiecie. To wszystko otoczmy mgłą śnieżnej iluzji, ślicznie dostrajającej się do charakteru uroczystości. Z takich samych kwiatów wiązanki małe rozrzucone lub rozstawione po stole dopełnią dekoracji, składając się na wonną i subtelną całość.

Po dwóch końcach stołu patery z owocami artystycznie w liściach ułożonemi i przed każdym nakryciem maleńka kryształowa solniczka, to wszystko, co się na stole stawia, pozostawiając wszelkie kompoty, sałaty, koszyki z chlebem, serwisy do octu i oliwy, musztardę i t. p. opiece służby, która ustawiszy je na bocznym stole, pomocnikiem zwanym, podaje gościom w miarę potrzeby. Na każde nakrycie składa się talerz płytki na brzegu stołu postawiony, cała bateria kieliszków, zastosowanych do gatunków win, jakie mają być rozlewane, przed talerzem zręcznie ustawionych. Szklanki duże do wody zwyczajnej i mniejsze do wody sodowej służba powinna mieć na boku przygotowane wraz z dobrze zaziębną wodą z syfonami i na żądanie gościa nalane podawać na tacce. Po prawej stronie talerza na srebrnej podstawce opieramy nóż i widelec do kolacji, z dodaniem łyżki do obiadu, zmieniając je po każdej potrawie, po lewej stronie talerza stawiamy mały talerzyk do kompotu, kładąc łyżeczkę między talerzem a kieliszkami. Na talerzu serwetę zręcznie płasko złożoną, w niej średniej grubości kawałek chleba. Składanie serwet w infuły, wachlarze, rągi obfitości, łódeczki i inne, choć bardzo ozdobne, na razie zupełnie zostały zarzucone. Dopełniają nakrycia ładne kartki bristolowe ozdobione ręcznie malowanemi, przystosowanemi do okolicz-

ności winietkami, na których wypisane są dania i zgrabne bileciki wkładane w jeden z kieliszków z wyraźnie wypisanem nazwiskiem osoby, dla której miejsce jest przeznaczone. Na wsi pamiętać jeszcze trzeba o oświetleniu, które tak bardzo wpływa na nastrój i uświetnia przyjęcie. W mieście mamy elektryczność, na wsi w wielu domach też jest już zaprowadzona. Gdzie jej niema, trzeba zadowolnić się świecami, które, aby zabezpieczyć od kapania, trzeba przed oprawieniem zanurzyć na minutę w roztworze składającym się z 250 gr. wody, 10 gr. kwasu bornego, i 7 gr. siarczanu magnezji. Przed użyciem dobrze wysuszyć, a oprawiając, jeżeli świece grubsze jak lichtarz, nie skrobać ich, tylko maczać koniec każdej w ukropie i urobić w palcach do odpowiedniej grubości.

Co do jadłospisu podaję zestawienie różnych potraw, z których odpowiednio do pory i upodobania na każde danie po jednej wybrać należy. Dodaje także, że obecnie, zbytnie przeładowanie potrawami, nie jest przyjęte. Obiad różni się od kolacji dodaniem zupy, którą przy kolacji pomija się. Z zup odpowiednie są tylko czyste, ze śmietaną nie podaje się wcale na eleganckich przyjęciach, najodpowiedniejsze będą: Ox-tail na maderze, żółwiowa zupa a la reine, Julienne, rakowa bez śmietany (bisque d'écrevisses) rosół czysty z liśćmi szczawiowemi, czysta pomidoro-wa. Do zupy podaje się różnego rodzaju paszteciki ułożone na okrągłych półmiskach, wysłanych serwetą, przybrane gałązkami smażonej pietruszki. Drugie danie: ryby morskie: turbot, solé lub łosoś rzeczny na gorąco, przybrany szyszkami rakowemi, nóżkami z homarów, truflami etc., do ryb sosy: mousseline, holenderski, lub masło gorące klarowane, trzecie: combry sarnie szpikowane truflami, sos truflowy na maderze lub grosseille, pasztet ze zwierzyny w cieście francuskim (ten ostatni na kolację zwłaszcza), sos maderowy. Czwarte: poncz rzymski. Piąte: pulardy, kapłony, młode indyczki, perliczki, bażanty, kuro-patwy, przepiórki etc. przy pieczystem sałaty, kompoty. Szóste: szparagi, vol au vent z groszku, karczochy, macedoine z jarzyn, czyli jarzyny mieszane, w końcu lody, kremy, galarety i deser pod postacią owoców świeżych w najwykwintniejszych gatunkach sezonu, owoców osmażonych w cukrze, na kryształowych ułożonych talerzach. Co do napoi, nie podaje się piwa do wykwiintnych przyjęć obiadowych i wieczorowych, jedynie do śniadania drugiego można je zastosować w wyborowych gatunkach krajowych lub angielski porter i piwa pale-ale. Mamy jednak dziś u siebie tak dobre piwa, że w zupełności obejść się możemy bez renomowanych monachijskich i angielskich.

Wódki w różnych gatunkach podaje się na chwilę przed obiadem wraz z maleńkimi kanapkami, przyrządzonemi tak, aby odrazu całą do ust włożyć było można, takie kanapki robi się tylko ze słonemi przyprawami dla podniesienia apetytu. Podając ostrygi, podaje się do nich wina francuskie białe, Chablis, lub reńskie. Po zupie rozlewa się wina hiszpańskie Marsala, Madeira, Xeres lub Porto, a do ryby wina białe francuskie: Sauterne, Médoc, lub czerwone Château Lafite. Przy mięsie wino francuskie: Bordeaux i lekkie węgierskie, razem z ponczem rzymskim

wina francuskie, Latour blanche lub Château d'Iquem, od pieczystego aż do deseru, wina szampańskie mrożone, przy deserze stary tokaj, maślacz, malaga i stare miody. Przy kawie czarnej — likiery. Pamiętać należy, aby wina wcześniej przygotować, ustawić butelki pootwierane z boku, tak aby służba w kolei pomylić się nie mogła. Wino powinno oddać się pod opiekę starszemu, wyszkolonemu dobrze służącemu, a w braku takiego obowiązek ten należy do pana domu.

Na smak wina wpływa bardzo odpowiednio temperatura, to też trzeba zachować właściwą dla każdego gatunku, i tak wina reńskie powinny być bardzo zimne, francuskie białe również, czerwone, winny mieć około 18 stopni Reaumura, dla osiągnięcia tej temperatury, stawia się butelkę w garnuszek z gorącą wodą i trzyma w niej dopóty, dopóki dostatecznie ciepłem nie będzie. Dla starych węgierskich win najlepsza temperatura jest 10 do 12 stopni. Szampańskie wina podaje się w lodzie, zamrożone w igielki. Poncz rzymski mrożony, robi się na reńskim, lub szampańskim winie. Przy cukrowej kolacji, podaje się jedynie szampana i bardzo słodki tokaj. Wódki wszelkie powinny też być zimne. Likier miętowy nalewa się na drobno potłuczony lód, sztuczny koniecznie, i ciągnie przez słomkę. Bardzo dobrym napojem jest kruszon zaziębiony, zrobiony w sposób następujący: ćwierć kilo cu-

kru obetrzeć o skórę z 3 pomarańczy i jednej dużej cytryny. Pomarańcze obrane pokrajać w plasterki, starannie odrzucić pestki i każdy plasterzek przekroić na cztery części. Cukier otarty o skórki, włożyć w wagę, wsypać dwie łyżki mialkiego cukru, przygotowane pomarańcze, parę łyżek smażonych osączonych truskawek, lub ananasa, innych konfitur nie używa się do kruszonu. Przyrządzając kruszon w porze truskawek, ananasów lub brzoskwiń, zamiast konfitur, kładzie się świeże owoce. Ananas obiera się ze skórki i kraje w kostkę tak, aby w każdą szklaneczkę włożyć po parę kawałków. Brzoskwinie obiera się ze skórki, nakłuwa drewnikiem i wkłada całe do wazy, aby wino naciągnęło ich zapachem. Na cukier i owoce nalewa się wino reńskie „Mosel“, lekkie francuskie, lub ostatecznie dobre krajowe i miesza tak długo, dopóki cukier nie rozpuści się — następnie zaziębia doskonale, i trzyma wciąż w lodzie, w większym naczyniu, nalewając w miarę potrzeby w szklaneczki. Chcąc, aby kruszon był lżejszy, na butelkę wina dolewa się szklanekę przegotowanej, ostudzonej wody i wkłada trochę drobno potłuczonego lodu. Aby kruszon był równy, miesza go się przy nalewaniu łyżką srebrną, lub frażetowską na bardzo długim trzonku.

Taki kruszon można przelewać w mniejsze kryształowe dzbanki i roznosić wraz ze szklaneczkami podczas tańca.

J. S.

PRZEPIÓRKI

Wykwintna zwierzyna, ogromnie ceniona we Francji i na południu dawnej Rosji, u nas mało używana, chociaż w wielu okolicach kraju jesienią na polach znajduje się w obfitości. Przepiórka na polach po prosie i pszenicy nieraz jest tak tłusta, że latać wcale nie może i chłopci ptaszki te kijami biją. Ponieważ przepiórki są drobne, a mało kto je smacznie przyrządzać umie, najczęściej nie dochodzą do rąk dobrej gospodyni, lub umiejętnej kucharki, a bywają zjadane przez pąstuszków, pieczone na patyczkach przy ogniskach, — tak przyrządzone oczywiście mogą zaspokoić tylko niewybredny smak wiecznie głodnego, pasącego konie, podrostka wiejskiego. Przepiórki, chociaż bardzo są małe, jednak w stosunku do swojej objętości bardzo mięsiste i małe mają kostki, fatyga więc przy oprawianiu ich i przyrządzaniu zupełnie się opłaca. Jesienią są one tak oblane tłuszczem, że należy zachować wielką ostrożność przy ich skubaniu, aby z piórkami razem nie zedrzeć delikatnej skórki. Wnętrznosci należy też wyciągać bardzo delikatnie i ostrożnie, żeby nie zepsuć kształtu ptaszka. Najprostszy sposób ich przyrządzania jest zawinać każdą sztukę w cienki plasterzek słoninki, osolić lekko, dodając do soli parę ziarn utłuczonego pieprzu i ziela, lub też parę jagód jałowcowych. Zrumienić w płaskim rondelku ze wszystkich stron, robiąc to prędko, aby tłuszcz się nadto z nich nie wytopił, poczem podlać rosołem, tak aby ptaszki pokrył i na silnym ogniu wygotować prędko ten rosół do połowy. Oddzielnie ugotować na sypko ryż, licząc na 6 przepiórek szklanekę ryżu.

Ryż ułożyć na półmisku, naokoło ułożyć ptaszki, każdy przykryty słoninką z którą się dusił, sos wylać równomiernie na ryż, posypać grubo tartym, ostrym serem i zaraz gorąco wydać. Chcąc aby ta sama potrawa była wydajniejszą, każdego ptaszka, nadziać

farszcm następującym: na sześć, do ośmiu przepiórek wziąć ćwierć kilo cielęciny, przepuścić przez maszynkę z wątróbkami przepiórek, przesmażyć cebulkę z masłem, dodać do farszu, wbić jedno małe jajko, odrobić majeranku, osolić, popieprzyć, wymieszać dokładnie, nadziać tem bardzo pełno przepiórki, spiąć otwór szpilką drewnianą, zawinać w plasterzek słoniny i piec jak powiedziano wyżej. Bardzo wykwintnem daniem jest chaud — froid z przepiórek na zimno. Po oczyszczeniu przepiórek, bardzo ostrym nożykiem rozcina się skórę na grzbiecie i zdejmuje ją ostrożnie z całego ptaszka, pozostawiając mięso z pierśmi przy skórze.

Kostki z pozostałym przy nich mięsem i wątróbkami z przepiórek, dusi się z dodaniem na dwanaście sztuk pół kilo wątróbki cielęcej, ćwierć kilo wędzonego boczku i trzech cebul. Gdy to wszystko zmięknie, ostudzić, kostki jaknajstaranniej obrać z pozostałego mięsa, wszystko razem zemleć parę razy w maszynce, dodać nieco pieprzu, gałki muszkatołowej, majeranku, osolić do smaku, nadziać tem ptaszki nadając im pierwotny kształt, zeszyć ostrożnie, zawinać w płatki słoniny, zrumienić na maśle, podlać rosołem i dusić minut kilka jeszcze, — gdy gotowe wyjąć, ułożyć na desce i zastudzić. Z kostek wygotować raz jeszcze smak, z mięsem i soserem. W którym się dusiły ptaszki. Zdjąć starannie tłuszcz. w dwie szklanki tego szmalcu, dodać osiem listków rozpuszczonej żelatyny białej, zakolorować karmelem na ładny ciemno-złocisty kolor. Gdy ptaszki dobrze przestygły i galareta już się ścinać zaczyna, zdjąć z nich płatki słoniny i zmaczać kilkakrotnie w stygnącej galarecie, aż się zupełnie nią pokryją, nie tracąc jednak swego kształtu. Najlepiej maczać każdą sztukę kolejno, trzymając ją na ostrym widelcu i zaraz kłaść na zimny półmisek, — następnie maczać inne, gdy wszystkie raz się zamoczą,

powtórzyć to znowu, tyle razy, aż się ptaszki pokryją półcentymetrową warstwą galarety.

Tak przyrządzone przepiórki ułożyć na półmisku, na warstwie sałaty włoskiej mieszanej, ubrać półmisek ćwiartkami jaj gotowanych na twardo, plasterami ogórków świeżych, lub pomidorów, posypać wszystko posiekaną galaretką, o jejile nam pozostało i podać do tego sos „provensal” lub „remoulade”. Chcąc tę potrawę podać jeszcze bardziej elegancko, kładziemy na każdego ptaszka cieniuchny plasterek trufla i dopiero potem zamaczamy go w galarecie, w takim razie cały półmisek posypuje się też truflami pokrajanymi w cieniuchne paski. Wszystkie te sposoby przyrządzania przepiórek sama wypróbowałam, mieszkając w Rosji, gdzie była ich ogromna obfitość. Dla smakoszyw dodam kilka francuskich sposobów przyrządzania.

Dwanaście przepiórek oczyścić starannie, osolić trzeba, zrumienić w maśle, podlać wodą czy rosołem, zakryć pokrywą, dusić aż zmiękną. Ugotować oddzielnie pół kilo marchwi, pokrajanej w kostkę, pół kilo fasoli zielonej przekrajanej na połówki, dużą główkę kalafiora. Na środku półmiska metalowego ułożyć kalafior, naokoło warstwę marchwi, na marchwi przepiórki, wszystko otoczyć zieloną fasolą. Do sosu od przepiórek wsypać łyżkę maki, zagotować, rozprządzić rosołem lub wodą, wlać kieliszek madery, na końcu zaprawić dwoma żółtkami, zagrać sos mocno, uważając, aby się nie zwarzył, zakolorować karmelem na ładny, ciemno-złoty kolor, polać ptaszki i jarzyny razem, wstawić na dwie, czy trzy minuty w gorący piec i podawać.

Prostszy sposób jest po oczyszczeniu ptaszków, nadziać każdego bułeczką tartą, wymieszaną po potarcu z usiekaną drobno słoniną. Zawinąć ptaszki w liście winogronowe, obwiązać mocno niemi i dusić w rozpuszczonej słoninie, podlewać pod koniec wodą, aby się nie przypaliły. Oddzielnie ugotowany ryż polewa się sosem od ptaszków, które wraz z winnymi liśćmi po zdjęciu nici układa się około niego. Jest to najprostszy, ludowy sposób.

Pani Elzbieta.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

P. Halce. Suknię trikotinową prać w rozbitym w ukropie zupełnie wystudzonego mydła „Lux”. Nie wycierać tylko wygniatać często zmieniając płyn, dopóki zupełnie czysty nie będzie. Wtedy wygnieść w wodzie — i suszyć rozkładając na prześcieradle — wieszanie nie można, bo się wyciągnie. O ile w dobrym gatunku trikotina upierze się bardzo ładnie. Skoro przeschnie, prasować po lewej stronie.

Pani S. C. Chlebowice. Meble poplamione przez muchy zmyć gałgankiem, maczanym w wyciśniętym soku z cebuli — następnie czyścić pomadką bezbarwną lub woskiem z oliwą — miękkim flanelowym gałgankiem wycierać do blasku. Dokładne mycie zimną wodą z dodatkiem wody lawendowej — a następnie przesypanie ciała pudrem ryżowym z przymieszką talku chroni od pocenia się.

Abonentce z Grodziska. Futro do przyfarbowania trzeba dać do dobrego kuśnierza — inaczej łatwo je zniszczyć.

* * *

Dr. Julja Świtalska powróciła i ordynuje w chorobach skórnych, kosmet., wener. wyłącznie dla kobiet od 5—7. Krucza 31, tel. 102-77.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 39

876. Suknia wieczorowa z morelowej georgette'y, przybrana srebrną koronką i różami ze srebrnej lamy.
877. Suknia balowa z lila tafty. Przód z lila georgette'y haftowany złotem, kokarda ze złotej lamy.
878. Suknia z woalu koloru feuille morte, kamizelka biała.
879. Kostjum granatowy, przybrany rogowymi guzikami.
880. Kostjum koloru taupe, przybrany kretami.
881. Palto z peleryną, przybrane oposami.
882. Palto z peleryną z materiału double face, kołnierz i mankiety z materiału odwróconego na lewo.
883. Palto z peleryną z kasha brązowego, przybrane futrem.
884. Suknia z granatowego kasha, pas zamszowy, żabot z koronki.
885. Skromna sukienka z białą kamizelką, przybranie z płaskich czworokątnych guziczków.
886. Matinka z crepe de chine'u, koloru lavende w dwóch cieniach.
887. Kamizelka z welwetu koloru feuille morte, tył przyciągnięty paseczkiem.
888. Matinka z deseniowej flaneli, kołnierz, mankiety i dół objęte gładką flanelą.
889. Sukienka dla dziewczynki dziesięcioletniej z szewiotu granatowego.
890. Sukienka z różowej flanelki dla dziewczynki pięcioletniej.
891. Spódniczka granatowa układana w fałdy i biała bluzka przybrana haftem dla dziewczynki dziesięcioletniej.
892. Sukienka z wełny w kratę dla dziewczynki ośmioletniej.
- 893-894-895. Wzory na bieliznę, mierzka i haft.
- 896-897-898. Wzory do wyszycia ściąganiem pocztowym na fartuszkach, lub sukienkach dzieciennych.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dzieciinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrús — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu” organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.